Nr 5 (51) CENA 15 GR. ROK II

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
CHŁODNA 17, TEL. 257-26
skrz. poczt. 113.
KONTO P. K. O. Nr. 4.043.

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji i Administracji 11 — 14.

Rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Prof. Dr. CHAIM WEIZMANN — „Przejdziemy przez te burzliwe dni"...
Prof. Dr. HUGO BERGMANN — Droga Martina Bubera.
OUTSIDER — W tym szaleństwie jest metoda.
H. SENDLER — Ekspansja niemiecka w Rumunii.
Dr. H. LICHTWITZ — Partia Żabotyńskiego obraduje...
LEOPOLD HALPERN — „Wszyscy chcemy rządzić — a nikt służyć"...
J. BLEIBERG — Psychopaci w życiu literackim.
Dr. S. RUMELT — Karol Hubert Rostworowski.
B. LEWITÓWNA — Proza Brunona Schulza.
J. LESER — Recenzje teatralne.
Wydarzenia i odgłosy — Antena Świata.
STER MŁODYCH

13 lutego 1938 WARSZAWA 12 adar 5698

Okno na świat

W tym szaleństwie jest metoda

ON NIE WINIEN — ONA WINNA.

Nadużywano tak często słowa „przełom" — że czytelnik zapewne wzruszy sceptycznie ramionami, gdy przeczyta w poniższych wywodach określenie obecnego okresu w polityce międzynarodowej i przemianach układu sił, jako przełomu. A jednak rok 1938 i wydarzenia pierwszych miesięcy tego roku znamionują przełom w stosunkach międzynarodowych.

Podkreślaliśmy w zeszłym tygodniu pośpiech, z jakim polityka państw nie wiadomo czemu nazwanych „dynamicznymi" (chyba tylko po to, by nie używać słowa „napastniczych") stara się rozsadzić Ligę Narodów, powiedzieliby śmy ostatecznie skastrować jej traktaty, znosząc punkt 16, gwarantujący pomoc przeciw napastnikom. Nie jest jednak słuszne zamykanie oczu na istotny kryzys, jaki ta instytucja przechodzi. Abisynia, przed tym Mandżuria, po tym Hiszpania, w końcu Chiny uwidoczniły w pewnej mierze bezsilność Genewy wobec państw, które nie mogą o sobie powiedzieć nawet tego, co Bismarck zwykł mówić: „Non timemamus nisi Deum, nie obawiamy się niczego, prócz Boga". Państwa bowiem totalne zdołały nawet i tę instancję bardzo umiejętnie podporządkować swoim potrzebom...

Nie ma obecnie nikogo, kto by zamykał oczy na trudności piętrzące się przed Ligą Narodów. Liberalne pismo angielskie „The New Statesman and Nation" stojące tak mocno na gruncie ligowym, w swym numerze z dnia 29 stycznia b. r. plastycznie unaocznia wagę tych trudności:

„Pomijając już wahania w łonie państw pomniejszych, należy zdać sobie sprawę, iż większość poglądów w dzisiejszym gabinecie angielskim skłania się do zawarcia paktu międzynarodowego z Duce — przy zawarciu, jeśli to będzie możliwe, paktu ekonomicznego z Herr Hitlerem — aniżeli odbudowę systemu kolektywnego w Genewie. Należy oczekiwać końcowego, wielkiego wysiłku dyplomacji brytyjskiej w tym kierunku, nawet jeśli za cenę tego wypadnie uznać podbój przez Włochy Abisynii".

W wypadku, jeśli te próby nie powiodą się, twierdzi publicysta „New Statesman", rząd angielski wróci do koncepcji wzmocnienia i rozbudowy Ligi Narodów. Ale tu nasunie się szereg trudności, wobec stanowiska szeregu państw pomniejszych, jak również wskutek tego, że:

„Bez Sowietów jest Liga niezdolnym do niczego strażnikiem. Ale jaka będzie cena Stalina za współpracę? Bez wątpienia, gwarancja granic zachodnich Sowietów. Są to jednak zobowiązania, których żaden rząd angielski — prawicowy czy lewicowy — nie może przyjąć na siebie, bez wyraźnego określenia natury tych zobowiązań".

Polityka Edena w Genewie była bez wątpienia podyktowana potrzebą odłożenia sprawy reformy Ligi Narodów, do chwili póki Foreign Office nie wyjaśni sobie dokładnie, jakie są możliwości porozumienia z Mussolinim i Hitlerem. W danej chwili, podczas setnej sesji Ligi sprawy te nie były dostatecznie jeszcze wyjaśnione. Są tacy, którzy przypuszczają, że Anglia zdoła znaleźć kompromis z Mussolinim w sprawie hiszpańskiej, kompromis, którego w danej chwili pragnie po to, by móc oddać się zupełnie sprawom Dalekiego Wschodu i kłopotom, jakie nastręcza agresja japońska. Qui vivra, verra. Kompromis hiszpański zawarty bez właściwego gospodarza na terenie Hiszpanii, jakim jest legalny rząd hiszpański wydaje się w tej chwili coraz bardziej niemożliwy: chyba, że prócz 50.000 wojsk włoskich na pomoc generałowi Franco uda się 50.000 ochotników angielskich...

Anglia będzie więc trwała dopóty przy Lidze Narodów — która w pewnej chwili jednak może nabrać ciała i krwi, i stać się potężną instytucją — póki nie wyjaśni sobie dokładnie możliwości kompromisu na lądzie. W danej chwili te możliwości są minimalne. A tymczasem atak na Ligę Narodów trwa: co prawda nie powiodła się ciężka armata w Genewie i minister Beck, mimo zapowiedzi, w słynnym exposé w Sejmie — innym tonem przemawiał na setnej sesji, ale za to pan R. P. kontynuuje „strzelanie" na łamach shrabykowanego Kuriera Porannego.

Oczywiście, wszystkiemu jest winna Liga Narodów: on nie winien, ona winna, tego czynić nie powinna. Dowiadujemy się więc z wywodów Kuriera Porannego (6.I.1938), że za obecną sytuację w Gdańsku odpowiedzialną jest Liga Narodów. Proszę nie sądzić, że poniższe cytaty są wzięte z jakichś „Szpilek" albo z „Muchy". P. R. P. tak dosłownie pisze:

„Wbrew rozpowszechnianemu złudzeniu optycznemu oraz wbrew krótkowzrocznej krytyce niektórych głosów opozycyjnych, to nie deklaracja polsko-niemiecka o nieagresji, ale kryzys Ligi Narodów stał się źródłem znanych trudności na terenie wolnego miasta. Można zaryzykować twierdzenie, że gdyby polsko-niemieckiej deklaracji o nieagresji nie było, sytuacja na terenie wolnego miasta przedstawiałaby się prawdopodobnie jeszcze gorzej.

I tu należy zapytać, czy było rzeczą wskazaną wiązać postawę i prawa Polski w Gdańsku wyłącznie z osłabioną Ligą Narodów? Czy należało zabawiać się w donkiszoterię, i wykraczając poza własne uprawnienia, wojować w Gdańsku na własną rękę w obronie autorytetu Ligi Narodów, której nikt inny efektywnie bronić nie chciał? Troska o powagę Ligi Narodów w Gdańsku należała do Rady Ligi Narodów, która w całej tej sprawie zachowała się omal biernie. Do nas należała obrona naszych nienaruszalnych praw i ta obrona była prowadzona w oparciu jedynie o autorytet Polski bez daremnego uciekania się o pomoc do Genewy".

Kto osłabił tę samą Ligę? Czy obrona interesów polskich w Gdańsku jest li tylko obroną autorytetu Ligi Narodów? Mieli ponoć na ten temat przemawiać na wiecu w Warszawie b. minister August Zalewski, i b. minister Henryk Strasburger, ale jakoś to ich przemówienie nie zostało wygłoszone...

PLAN DZIAŁANIA.

Po tej humorystycznej dygresji z wywodami p. R. P. wróćmy jeszcze do spraw genewskich. Jest rzeczą jasną, że osłabianie Ligi Narodów jest skutkiem systematycznej, z góry przygotowanej akcji państw totalnych, pragnących na tej drodze szykować grunt do działań wojennych. Kilkakrotnie podkreślaliśmy, iż pierwszym planowanym etapem jest rozbicie Czechosłowacji, przy uprzednim zapewnieniu sobie, iż par. 16 nie będzie już prawomocny.

Plan strategiczny sztabu narodowo-socjalistycznej partii jest opracowany bardzo skrupulatnie. Planować w podobnych sprawach Niemcy potrafią, to specialité de la maison, jeszcze z czasów Wilhelma II. Systematycznie przygotowują atak i rozpoczęcie działań, kierunek jest dokładnie wytknięty. Był wytknięty w roku 1914 — nie udało się. Może teraz uda się?

Czemu Czechosłowacja? W ostatnim numerze endeckiej „Kroniki Polski i Świata" niepodpisany wybitny fachowiec wojskowy wyjaśnia powody tej linii marszu. Fachowość tego artykułu, jako też słuszność jego założeń, wykazujących „Eurazyjską linię Trzeciej Rzeszy i jej pierwszy etap — basen naddunajski", skłania nas do zacytowania dosłownie końcowego ustępu:

„W niedawno wydanej broszurce, poświęconej tym zagadnieniom, płk. czeski Moravec pisze wyraźnie, że Czechosłowacja może być bulwarem albo łącznikiem. Bulwarem dla armii rosyjskiej, łącznikiem strategicznym dla Polski i Włoch. Urzeczywistnienie koncepcji marszu po linii euroazjatyckiej przeciw Włochom, Czechosłowacji i Polsce jest niemożliwe. Przy neutralności Polski i Włoch — możliwe. Przy neutralności jednego z tych dwóch państw flankowych — wątpliwe.

Marsz po tej linii pociągnąć za sobą musi całkowite zniszczenie Czechosłowacji. Stąd wynikają jeszcze wnioski dla polityki czechosłowackiej: jedynie oparcie o pomoc przynajmniej jednego państwa flankowego może jej dać gwarancję bezpieczeństwa przy poparciu innych państw Małej Ententy i Francji. Porozumienie z Węgrami ułatwia wydatnie jej sytuację.

Natomiast linia natarcia ku południowemu wschodowi nie jest bezpośrednio groźna dla Polski. Etap przygotowawczy — Anschluss mimo całej serdeczności na osi Berlin — Rzym stwarza sytuację, w której Włochy musiałyby w Środkowej Europie szukać możliwości skonstruowania potencjonalnego frontu dla położenia tamy marszowi Niemiec ku Bałkanom".

Zaznaczmy tylko, iż zniesienie par. 16 w Genewie umożliwiłoby Polsce zajęcie stanowiska neutralnego na wypadek działań wojennych na terenie Czechosłowacji.

Dyplomacja narodowo-socjalistyczna zdaje sobie dokładnie sprawę z trudności, jakie napotykają sprzymierzone Francja i Anglia, w obecnym stanie swej polityki międzynarodowej na drodze wytyczenia już sposobu reakcji w chwili napaści na Czechosłowację. Wracamy do „New Statesman", który tak obrazuje te rozbieżności:

„Francja oświadczyła, że odniesie się do napaści niemieckiej na Czechosłowację jako do casus belli, i na pewno francuski sztab wojenny będzie nalegał, by to zobowiązanie było wykonane. Ale Anglia nie wypowie wojny Niemcom jeśli odbędzie się Anschluss Rzeszy z Austrią w drodze wewnętrznego i udanego powstania nazistowskiego przeciw doktorowi Schuschnigowi. Nie wyśle również ekspedycji w obronie Pragi przeciw infiltracji niemieckiej dla pomocy powstaniu Sudetendeutschen, jeśli bezpieczeństwo Francji nie będzie poważnie zagrożone. A dla obrony całości korytarza polskiego lub granic sowieckich, ani Francja ani Anglia nie poświęcą ani jednego żołnierza. Ich ewentualna akcja polegać będzie na ewentualnym stworzeniu komitetu nie — interwencji".

Ta może brutalna ocena rzeczywistości na łamach liberalnego pisma odsłania jednak rzeczywistość obecnego stanu rzeczy w polityce międzynarodowej.

ŚMIECH MARSZAŁKA BLOMBERGA.

Zdaje sobie sprawę z tego stanu rzeczy — w obecnej fazie — dyplomacja sowiecka, co znalazło wyraz w ostatnich przesunięciach w armii, w stworzeniu resortu marynarki wojennej i rozbudowie Leningradu, w przemówieniu Zdanowa jako też w przedwyborczym wystąpieniu komisarza Litwinowa. Zdaje sobie sprawę z tego stanu rzeczy dyplomacja niemiecka, która obecnie została złączona z kierownictwem wojskowym.

W rzekomym szaleństwie posunięć prących do wojny sfer niemieckich jest metoda, którą widać na każdym odcinku: metoda jest również w ostatnich przesunięciach w armii, które właściwie nie mogły nikogo zaskoczyć. Tylko biedni producenci sensacji od wiersza zmuszeni byli donieść o rzekomych przyczynach dymisji, które zostały spowodowane wskutek tego, że Hitler nie mógł się zgodzić na ślub córki stolarza z feldmarszałkiem Rzeszy. Ale tu fabrykanci sensacji przeholowali.

Zapewne w Reichswehrze, jako też w dyplomacji niemieckiej starej szkoły tkwiły elementy, które nie godziły się na zbyt „dynamiczne" posunięcia. Nie nadawały się zresztą do tego. Na nowym etapie nie nadawał się już doktór Schacht, ani jego typu ludzie. Murzyn zrobił swoje — murzyn może odejść. Ten etap minął. W przewidywaniu bliskiej rozgrywki należało wszystko skoncentrować, obsadzić pewnymi ludźmi, którzy nie będą mimowoli albo świadomie sabotować planów.

Zwyciężyła klika wojenna i partia, dążąca do odwetu wojennego. Zwyciężyła klika, pragnąca wykonania zaborczych planów. Zwyciężyła w chwili, gdy front pokoju nie jest jeszcze zwarty, spoisty, silny. Zwyciężyła po to, by przejść do nowego etapu, którego kierunek został wytyczony.

Nie należy zamykać oczu na rzeczywistość opowiadaniem bajek o córce stolarza. Nie przelewajmy łez nad szlachetnym generałem i marszałkiem, który dla swej miłości do stolarskiej córki zrzekł się tak zaszczytnego stanowiska. Dość łez wylano nad szlachetnym królem Edwardem, który dla swej miłości do pani Simpson stał się zwykłym tylko księciem. Książę Windsor okazał się zresztą gorliwym „badaczem" życia hitlerowskiego. Marszałek Blomberg ze swą małżonką udali się jak wiadomo na wyspę Capri, gdzie oblegani przez dziennikarzy odmówili wszelkich odpowiedzi.

W sali hotelowej starszy pan marszałek i młodsza pani marszałkowa czytali przez cały czas francuskie i angielskie pisma, przy czym niektóre ustępy o sytuacji w Niemczech tłumaczył marszałek swej młodej małżonce. Niektóre informacje miały wywoływać u marszałka i jego żony wybuchy śmiechu...

W Pradze—niepokój z powodu zmian w Niemczech. We Wiedniu — już nawet von Papen stał się sympatyczny i Austriacy żałują jego odwołania. Pan Marszałek Blomberg na Wyspie Capri zabawiał swą małżonkę odczytywaniem depesz w pismach angielskich i francuskich. Nie wiemy, czy dalszy bieg wypadków wywoła również u obecnych i byłych kierowników sił zbrojnych Niemiec wybuchy śmiechu. Jeśli nowy rok 1914 zamieni się w nowy rok 1918 — zapewne śmiech ustąpi miejsca grymasowi rozpaczy i bólu...

OUTSIDER.

H. Sendler

Ekspansja niemiecka w Rumunii

Ekspansja niemiecka w Rumunii dokonywa się systematycznie. W lecie 1935 huta Dobrej Nadziei udzieliła przemysłowi stalowemu w Hunedoara pożyczki w wysokości 24 milionów lejów. Od tego czasu udzielono i wiele innych pożyczek. A w roli kredytora można w słabym finansowo kraju wiele żądać!

Z całego eksportu rumuńskiego, który w pierwszych dziewięciu miesiącach 1937 wynosił 22 miliardy lejów, 4½ miliarda przypada na Niemcy; jest to prawie 1/5. A jak się przedstawia druga strona bilansu handlowego? Cały import wynosi dwanaście miliardów lejów; z tego Niemcy dostarczyły za 3½ miliarda. Zobowiązania niemieckie wynoszą teraz 1,2 miliarda lejów — dość dużo jak na „wierzyciela". Sposób wypłacania (clearing) umożliwia dostawcom niemieckim uzyskanie znacznych nadwyżek w cenach. Jeżeli eksporter rumuński chce otrzymać swoje pieniądze, musi zawrzeć kontrtranzakcję i zaakceptować oferty niemieckie, które często przewyższają ceny na rynkach światowych. Clearing jest niepopłatnym systemem, w każdym razie pieniądze wpływają z dużym opóźnieniem i dostawca rumuński już tym samym pracuje ze znacznym ryzykiem. Kursy na rynku Rzeszy wahają się, grozi inflacja, od czasu ustąpienia Schachta wierzycielom rumuńskim jest wcale nie lekko na sercu. Naturalną rzeczą jest, że dostawcy rumuńscy starają się złagodzić ostrze clearingu; udaje się im to jednak tylko wtedy, gdy pobierają możliwie najwięcej towarów z Niemiec. To zaś dzieje się kosztem innych państw. Tak więc przemysł czechosłowacki został w lecie 1937 usunięty od dostawy traktorów, a zamówienia zostały rozdzielone między niemieckie firmy: Lanz i Sack. Teraz rumuński minister rolnictwa wydał rozporządzenie, na mocy którego potrzeba będzie na przyszłość specjalnego uprawnienia z ministerstwa na przywóz maszyn i narzędzi rolniczych oraz na fabrykację ich w kraju. Kto może skorzystać na tych uprawnieniach? Fabryka sztucznego jedwabiu Petrosani zdecydowała się nie dawno temu zakupić urządzenie maszynowe u drezdeńskiej firmy Schultze und Schulz.

Znamienne jest również to, że udział firm niemieckich w przedsiębiorstwach rumuńskich wciąż wzrasta. W początku ub. miesiąca naprzykład założona została nowa spółka akcyjna (z kapitałem zakładowym wysokości 5 milionów), w której duży udział ma westfalski przemysł drutowy; generała Manu wybrano do zarządu tej spółki. Niedawno też przybyli do Bukaresztu przedstawiciele Kruppa. Panowie ci są bardzo powściągliwi. Wiadomo jednakże, że pertraktują z rządem o założenie fabryki amunicji. Od kilku tygodni zaś eksperci badają ujście Dunaju, by stwierdzić, jakie są możliwości zużycia trzciny dunajskiej dla wyrobu celulozy Grupa finansistów niemieckich, z polecenia której działają fachowcy, przedłożyła już Rumunom projekt utworzenia fabryki celulozy w miastach portowych: Braile lub Galace.

W roku 1937 założono w Rumunii 16 fabryk włókienniczych o kapitale 122 milionów lejów, 13 zakładów chemicznych o kapitale 68,5 milionów lejów i fabryki metalurgiczne o kapitale 9,2 miliardów lejów. Krupp, przemysł westfalski i kilku innych działają tu nie tylko jako dostawcy maszyn, lecz mają swój udział w wielu z tych zakładów.

Ekspansja niemiecka postępuje szybko. Gdzie można ryzykować, pobiera się wygórowane ceny; jeżeli jednak konkurencja zagraniczna jest zbyt silna,

(Dokończenie na str. 8).

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Regent Mikołaj Horthy

Admirał Mikołaj Horthy, regent Królestwa Węgierskiego, przybył w gościnę do Polski. Głowa państwa madziarskiego symbolizuje konsekwentnie i celowo wyjątkową i w dużym stopniu paradoksalną sytuację, w której znalazły się powojenne Węgry w wyniku wielkich przeobrażeń historycznych, które w naszych czasach dokonały się w świecie.

Węgry są królestwem, ale historyczna korona św. Szczepana nie spoczywa od lat 20 na skroni monarchy. U stóp niezajętego tronu stoi regent, piastujący rangę admirała, ale obecne Węgry nie posiadają ani jednego okrętu, nie mają też dostępu do morza. Oficjalne mapy Węgier obejmują wielkie terytorium, zamieszkałe przez Madziarów, ale rzeczywiste granice obecnej Ungarii wyznaczają tylko połowę tego terytorium, pozostawiając poza granicami państwa liczne skupienia madziarskie (w Rumunii, Czechosłowacji, Jugosławii).

Węgrzy uważają się za dotkliwie skrzywdzonych przez traktat w Trianon, podpisany pomiędzy koalicją a państwem madziarskim i dlatego ożywieni są silnym pragnieniem rewizji granic. Jeżeli sądzić na podstawie siły natężenia propagandy rewizjonistycznej w życiu węgierskim, pragnienie to jest na Węgrzech dominujące. Cała zewnętrzno - dekoratywna strona węgierskiego życia państwowego (a lubujący się w historycznych tradycjach, Węgrzy mają dla niej ogromne zrozumienie) jest obliczona na stałe demonstrowanie protestu przeciw Trianon: od munduru *admiralskiego* regenta aż do napisów wyrytych na skałach: „Nigdy się nie zgodzimy!" i mapek dawnych Węgier.

Przypomina się nam rozmowa, którą parę lat temu regent Horthy odbył z Knickenbrockerem. Przyjmując amerykańskiego dziennikarza w średniowiecznym zamku budapeszteńskim, admirał powiedział:

„Mieliśmy wszystko — i węgiel, i żelazo, i złoto, i sól, i naftę; cóż mamy dzisiaj? Zabrano nam 72% naszej ziemi i 60% ludności".

Na pytanie zaś Knickenbrockera na temat szans wojny i pokoju admirał udzielił niezwykle obrazowej odpowiedzi:

„Kiedy Pana marynarka jest źle zapięta, musi Pan ją naprzód rozpiąć, aby móc ją zapiąć z powrotem. Europa musi być najpierw rozpięta, a potem zapięta jak należy; wówczas będziemy mieli ten pokój, do którego wszyscy na Węgrzech dążymy".

Co należy rozumieć przez „rozpięcie marynarki" — nie trudno się domyśleć.

*

Paradoksalna sytuacja Królestwa św. Szczepana uwidacznia się też na innych odcinkach ich życia politycznego.

Jeszcze kilka lat temu uważano reżim panujący na Węgrzech za wybitnie niedemokratyczny — ale dziś w licznych państwach europejskich wprowadzono systemy znacznie bardziej antydemokratyczne i totalistyczne. Krytykowano dawniej ostrość metod w zwalczaniu kół lewicowych na Węgrzech, podczas gdy dziś liczne rządy stosują metody dużo ostrzejsze. Podnoszono też dawniej, że ordynacja wyborcza do parlamentu budapeszteńskiego uznaje tajność głosowania tylko w okręgach miejskich — ile jednak państw zawiera w swoich ustawach i praktykach wyborczych znacznie większe grzechy przeciw demokratyzmowi?

Także w ocenie stosunku Węgier do Żydów nastąpiła w ostatnich latach zmiana. Węgry, dawniej klasyczny kraj antysemityzmu, straciły ostatnio dużo z tej swojej „reputacji". I nie dlatego tylko, że inne państwa wydarły im palmę pierwszeństwa. Z różnych przyczyn politycznych Węgrzy uznali za mądrzejsze odstąpić od uprawiania antysemityzmu. Toteż przestały ostatnio nadchodzić z Węgier wieści o antysemickich wyczynach, natomiast z trybuny parlamentarnej słyszeliśmy oświadczenia przedstawicieli rządu i partii, odżegnywujących się od antysemityzmu.

W związku z antyżydowskim kursem rządu rumuńskiego warto podkreślić, że przywódcy mniejszości węgierskiej w Siedmiogrodzie wypowiedzieli się w obronie tamtejszych Żydów, którzy zresztą pod względem kulturalno - narodowym ulegli silnej madziaryzacji.

Z. N. P. odzyskał suwerenność

Przewidywanie, któremu daliśmy wyraz w artykule, napisanym jeszcze przed krakowskim zjazdem Związku Nauczycielstwa Polskiego, sprawdziło się w całej pełni:

„W demokratycznych wyborach zwycięży demokracja". Istotnie też w wyborach Zarządu zwyciężyła na całej linii demokracja: wybrano znowu stary, postępowy Zarząd. Prezes Kolanko został obrany niemal jednomyślnie, ale wyboru *czasowo* nie przyjął, pragnąc przedtem na zwykłym zjeździe (w Krakowie odbył się zjazd nadzwyczajny— tylko dla wyboru władz) odpowiedzieć na zarzuty, które przeciw niemu i linii jego działalności były z pewnych stron wysuwane.

Dobrze też się stało, że w obliczu permanentnej i często uciekającej się do denuncjatorskich chwytów hecy przeciw Z. N. P., w odpowiedzi na takie sobie powiedzonko o „stalinowskich wyborach" w Z. N. P., które padło w komisji budżetowej Sejmu, minister Świętosławski oświadczył w tejże komisji, że wynik wyborów na zjeździe krakowskim przyjmuje do wiadomości.

Adam Doboszyński

Zeznania — pożal się Boże! — bohatera najazdu na Myślenice, złożone przed lwowskim sądem przysięgłych, charakteryzują jak najwierniej oblicze inż. Adama Doboszyńskiego. W czasach dzisiejszych i na tle pewnych środowisk nie jest to wcale postać odosobniona, przeciwnie, jest ona przedstawicielem pewnego typu, dość często spotykanego wśród zwolenników ekstremistyczno - nacjonalistycznych kierunków różnych narodów. Chociażby poeta - awanturnik polityczny Horst-Wessel.

Co jest cechą tej — niestety — całej kategorii ludzi, działających na swój sposób — po stokroć niestety! — w polityce? Niebywałe, przechodzące w stałą histerię przeegzaltowanie, które nie mogąc znaleźć pełnego ujścia w ramach słabiutkich zazwyczaj zdolności literackich, wyładowuje się w awanturniczych wyczynach pseudo-politycznych.

Doboszyński jest inteligentny. Ma bogatą fantazję. Ma duży temperament twórczy. Ma też wielkie ambicje. Ale jego twórcze zdolności i możliwości są niewspółmiernie małe w stosunku do ożywiających go ambicji. Tu źródło wielkiej rozterki wewnętrznej, która prowadzi do wykolejenia życiowego i politycznego.

Doboszyński pragnie się wyżyć, chce się wyładować twórczo. Próbował tego w dziedzinie literatury: wyszła powieść pornograficzna — wulgarny podręcznik „artis amandi" dla początkujących w pewnej dziedzinie sztubaków. Próbował w dziedzinie polityki: wyszły Myślenice.

Czym miały być te osławione Myślenice? Demonstracją czy też może ucieczką od Berezy? Doboszyński przyznaje się, że właściwie i jednym i drugim. Bardzo ładnie. A jeżeli demonstracją, to przeciw czemu? Tu zeznania Doboszyńskiego są dziwnie poplątane i mało przekonywujące. Mówi, że obawiał się palenia świątyń w Krakowie na wzór hiszpański, ale w Krakowie nikt dotąd żadnej świątyni nie spalił, a w Myślenicach on sam, jak słusznie zwrócił na to uwagę przewodniczący trybunału, kazał podpalić żydowską świątynię. Razi go, że Kaplicki stał na czele grupy regionalnej posłów i senatorów B. B., a jednocześnie skarży się, że miał udzielać sali miejskiej na jakieś komunizujące zebrania. Chce tylko przy drzwiach zamkniętych mówić we Lwowie o służbie swej w wojsku (w Krakowie mówił o tym przy drzwiach otwartych), a jednocześnie uważa, że pogłoska o obdarowaniu go szablą przez Marszałka Piłsudskiego jest dlań politycznie dyskredytująca. Deklamuje z teatralnym patosem o wzniosłych rzeczach, a nie chce odpowiedzieć sądowi, co miało znaczyć jego powiedzenie: „Jeżeli już dobrze rozhuśtałeś dziewczynę, to zrób z nią dziecko, bo inaczej kto inny pójdzie z nią w krzaki".

Taki to już jest ten Doboszyński: niedowarzony literat i awanturniczy pseudo - polityk. Tragedią naszych czasów jest to, że tacy Doboszyńscy zabierają się do nie swoich rzeczy.

Żydzi rumuńscy w obliczu nowych wyborów

Rozpisano w Rumunii wybory do parlamentu. Równocześnie niemal rząd Gogi-Cuzy wydał rozporządzenie o rewizji naturalizacji, godzące w prawo obywatelstwa ogromnej części żydostwa rumuńskiego. Rozporządzenie to orzeka także, że samo zakwestionowanie czyjegoś obywatelstwa upoważnia do skreślenia z listy wyborców przy obecnych wyborach, t. j. jeszcze przed merytorycznym zbadaniem prawa obywatelstwa. Intencja tego jest zupełnie wyraźna: chodzi o pozbawienie Żydów wszelkiej niemal możliwości uczestniczenia w wyborach albo zgoła przeprowadzenia własnej reprezentacji.

Jak powinno postąpić żydostwo rumuńskie w tej sytuacji? Tylko nie wycofać się dobrowolnie, tylko nie ulec bez walki, choćby walka ta w obecnej fazie była nad wyraz trudna i chwilowo niemal beznadziejna.

Szanse zdobycia przy wyborach wymaganych 2% głosów były zawsze małe — ostatnim i przedostatnim razem Żydzi minimum tego nie zdołali osiągnąć. Dziś sytuacja będzie stokroć trudniejsza ze względu na masowe skreślanie wyborców żydowskich i niebywały teror antyżydowski, który rozwinie rząd, jego organy i poplecznicy. Wszak jeszcze przed dojściem do władzy cuziści wygrażali się cynicznie, że jeśli nawet przejdą posłowie żydowscy, to oni ich przemocą nie wpuszczą do gmachu parlamentu!

Wbrew temu wszystkiemu bracia nasi w Rumunii powinni uczynić wszystko, co tylko leży w ich mocy, i pójść do wyborów. Głosować demonstracyjnie na kandydatów-Żydów, wszystkimi siłami bronić praw obywatelskich, które im chce się przemocą odebrać. Tylko nie ulegać bez walki — tylko bronić każdej pozycji do ostatniej chwili!

Wspomnienia o Marszałku Piłsudskim

W ozonowym dwutygodniku „Myśl Polska" ukazały się ciekawe i mało dotąd znane wspomnienia prof. *Mariana Zdziechowskiego* z Wilna o *Józefie Piłsudskim*. Jedno z nich dotyczy na ogół nieznanego szerszej opinii faktu wysunięcia przez Marszałka kandydatury prof. Zdziechowskiego na Prezydenta R. P.:

„Wkrótce potem, 30 maja, zawiadamiają mnie w rektoracie, że jest do mnie telefon z Warszawy. Ponieważ, ani razu nie udało mi się telefonicznie rozmówić z Warszawą, nigdy dokładnie zrozumieć nie umiałem, czego ode mnie żądano, więc uprosiłem panią sekretarkę Uniwersytetu, aby łaskawa była mnie zastąpić. Po chwili wraca: „Jest to sprawa poufna, musi pan sam do telefonu pójść". Poszedłem, coś nie coś dosłyszałem, ale było to tak nieprawdopodobne, że wierzyć uszom swoim nie chciałem. „Nic nie rozumiem — powiedziałem, śmiejąc się do pani sekretarki — zdaje się, że ktoś tam w Warszawie chce mnie zrobić prezydentem".

Była godz. 12, skończyło się urzędowanie moje i zaledwie na Zamkową wyszedłem, ujrzałem chłopaków, sprzedających ulotki z wiadomością, że Marszałek prezydentury, którą mu delegacje Sejmu i Senatu ofiarowały, nie przyjął, a jako kandydatów wymienił Dyr. Mościckiego i mnie. Droga do domu prowadziła koło Inspektoratu Armii. Spostrzegł mnie adiutant gen. Rydza-Śmigłego. Wybiegł i zatrzymał mię: „Czy wie p. Rektor, że Marszałek zaproponował pana na prezydenta?" — „Wiem, ale wiem także, że prezydentem nie będę". — „Jak to, dlaczego?". „I lewica i t. zw. prawica jednaką mają antypatię dla osoby mojej, więc kto na mnie głosować będzie? Że zaś Marszałek postawił kandydaturę moją, choć niezawodnie się domyśla, że ani jednego głosu nie otrzymam, uważam to za sympatyczny gest z Jego strony w stronę Wilna, Wileńskiej Batorowej Wszechnicy, która jest ukochanym Jego dzieckiem, a ja w chwili obecnej jestem jej rektorem, wreszcie propozycja Marszałka jest także gestem w stronę konserwatyzmu, oznaczającym, że nie ma on nic przeciw wyborowi konserwatysty i monarchisty, byle by miał pewność, że to człowiek uczciwy".

Po południu przyszło do mnie dwóch reporterów gazet żydowskich w celu wywiadu o kwestii mniejszościowej. Wyjaśniłem im, że kandydatura moja nie ma żadnych widoków powodzenia, jeśli zaś ciekawi są poglądu człowieka prywatnego, to, zdaniem moim, mniejszości narodowe nie stanowią jednolitej całości i przeto żądania każdej z nich muszą być traktowane odrębnie, odpowiednio do ich kultury umysłowej i politycznej oraz stosunku do Polski".

Charakterystyczne też są wspomnienia prof. Zdziechowskiego o audiencji u węgierskiego regenta admirała *Horthy* i w związku z tym — o niedoszłej audiencji u Marszałka:

Przed wyjazdem z Budapesztu miałem audiencję u Regenta, admirała Horthy. Już go znałem z uprzednich pobytów; jeden z najbardziej czarujących ludzi, jakich zdarzyło mi się spotkać w życiu. Tym razem, zgodnie z otrzymaną informacją, mówił ze mną, jak z człowiekiem bliskim Piłsudskiemu. Mówił o identyczności interesów Węgier i Polski, o wypływającej stąd potrzebie przyjacielskiego współdziałania, ale rozumiał przeszkody, zdawał sobie sprawę, że „der psychologische Moment ist noch nicht gekommen". Żegnając mię, prosił, abym wyraził Marszałkowi uczucia czci i sympatii, jakie dla niego żywi. Przyjechawszy do Warszawy, żartobliwie zawiadomiłem p. Prystora, że mam ważną misję dyplomatyczną do spełnienia, bo przywożę dla Marszałka ukłony i hołd Regenta Węgier. Po chwili otrzymałem wiadomość, że Marszałek „bardzo chętnie" mię przyjmie o 6-ej wieczorem. Stawiłem się na oznaczoną godzinę. Adiutant, witając mię, uprzejmie zakomunikował, że u Marszałka jest premier Bartel, że zapewne audiencja jego zaraz się skończy, a na 7-mą jest wezwany minister Zaleski, że przeto dość będę miał czasu do rozmowy między 6-tą a 7-mą. Usiadłem, rozmowa z premierem przedłużała się jednak; po jakimś kwadransie w poczekalni zadzwonił telefon, adiutant wybiega do gabinetu Marszałka i po chwili p. Bartel krokiem szybkim śpieszy do telefonu: słyszę jego słowa: „Panie Prezydencie, teraz przyjść nie mogę, mam jeszcze godzinę, czy półtora konferencji z Marszałkiem". Wobec tego audiencja moja nie mogła dojść do skutku. „Może jutro o tej samej porze?" — zapytał adiutant. „Niestety, o tej porze nie mogę, bo wyjeżdżam". — „Więc może koło 12-tej?" — „Najchętniej" — odpowiedziałem. „Zawiadomimy Pana, numer telefonu mamy zapisany".

Nazajutrz cierpliwie wyczekiwałem w mieszkaniu dzwonka z Belwederu. Minęła 12-a — i nic. Zadzwoniono o 12 m. 15. „Dlaczego p. Rektor nie przyszedł? Marszałek czekał". — „Czekałem zawiadomienia, wszak na tym wczoraj stanęło", — „Czyż tak?".

Tegoż dnia opowiadałem o mojej niefortunnej przygodzie posłowi węgierskiemu i posłowi austriackiemu — i z ust obu słyszałem to samo, że mają wrażenie, iż otoczenie Marszałka nie zawsze dla tych lub owych powodów dopuszcza do audiencji, poseł zaś austriacki, p. Post, na potwierdzenie tego przytoczył następujący szczegół. Uprawnienia jego, jako posła, rozciągały się także na Łotwę i Estonię. Przed jednym z wyjazdów swoich do Rygi spotkał Marszałka na raucie i ten go prosił, aby po powrocie opowiedział mu o wrażeniach swoich. Wróciwszy do Warszawy, p. Post natychmiast zameldował się w Belwederze, ale daremnie. Po niejakim czasie Marszałek znowu go spotkał: „Dlaczego Pan nie był u mnie?" — „Meldowałem się, ale nie zawiadomiono mię, kiedy Marszałek raczy mię przyjąć". — Marszałek nic na to nie odpowiedział.

KRONIKA

ZA GRANICĄ:

— U progu szóstego roku rządów nacjonalsocjalistycznych w Niemczech, przeprowadzono rewelacyjne zmiany w organizacji armii i aparatu polityki zagranicznej. Cała władza wojskowa znalazła się w ręku Adolfa Hitlera. Przez mianowanie v. Ribbentropa ministrem spr. zagr. także politykę zagr. podporządkowano kierownictwu partii. V. Neurath został przewodniczącym t. zw. Tajnej Rady Gabinetowej, Goering — marszałkiem. Marszałek v. Blomberg i gen. Fritsch zostali usunięci ze służby czynnej. Zmiany i przeniesienia objęły 49 generałów. Na 20 lutego zwołano Reichstag.

— B. Kaiser Wilhelm II w dniu swych imienin wyraził życzenie pochowania go w Dorn w celu uniknięcia demonstracji, które mogłyby być wywołane jego pogrzebem w Niemczech.

— Rząd niemiecki skonfiskował majątek Arnolda Zweiga.

— W Paryżu otwarto wystawę anty-hitlerowską. W Nev-Yorku odbyły się znowu wielkie demonstracje anty-hitlerowskie.

— Gen. Franco utworzył nowy rząd powstańczy, na czele którego stanął osobiście.

— Transportowiec angielski „Eudymion" został zatopiony na wodach hiszpańskich przez nieznaną łódź podwodną. Statek „Alcira" został tamże zbombardowany i zatopiony przez nieznane samoloty.

— Rada Ligi Narodów uchwaliła rezolucję, deklarującą sympatię dla Chin. Polska i Peru wstrzymały się od głosowania.

— Marszałek Czang-Kai-Szek odwiedził sowieckiego komandarm. na Dalekim Wschodzie, Bluchera, w jego kwaterze.

— Odbyły się dalsze aresztowania wśród przywódców Frontu Ludowego w Japonii.

— Litwini amerykańscy wypowiedzieli się przeciw obecnemu reżimowi i prześladowaniu katolicyzmu na Litwie.

W KRAJU:

— Do Polski przybył admirał Mikołaj Horthy, regent Królestwa Węgierskiego.

— W całym kraju obchodzono uroczyście imieniny Prezydenta Rzeczypospolitej.

— W Krakowie odbył się krajowy zjazd Zw. Nauczycielstwa Polskiego, który wybrał dawny, demokratyczny zarząd. Minister W. R. i O. P. oświadczył w sejmie ,że decyzję zjazdu przyjmuje do wiadomości.

— W komisji budżetowej sejmu minister Świętosławski oświadczył, że nie on wydał rozporządzenie o getcie ławkowym. Posłanka Prystorowa wypowiedziała się przeciw gettu. Pos. Wojciechowski zaatakował w niezwykle ostry sposób ukraińskiego metropolitę Szeptyckiego. Pos. Sommerstein zażądał zniesienia getta ławkowego.

— Dyrektor P. U. W. F., gen. Olszyna-Wilczyński, wydał okólnik przeciw ograniczaniu praw narodowości niepolskich przy przyjmowaniu członków do klubów i stowarzyszeń sportowych oraz za utrzymaniem w stosunku do mniejszości narod. numerus clausus w zarządach tych stowarzyszeń. Ostatnio gen. Olszyna-Wilczyński został zwolniony ze stanowiska dyrektora P. U. W. F.

—Sprawa gen. Żeligowskiego została zlikwidowana w sposób mający znamiona kompromisu.

— Posłanka Prystorowa wystąpiła z Koła parlamentarnego „Ozonu", gdzie była członkinią zarządu.

— We Lwowie rozpoczął się proces inż. Adama Doboszyńskiego.

— W Wilnie odbył się pod przewodnictwem muftiego dra Szynkiewicza Kongres Muzułmanów w Polsce oraz zjazd Związku Kulturalno-oświatowego Tatarów Rz. P.

— We Lwowie odbył się zjazd Niemców w Polsce.

— Zmarł Karol Hubert Rostworowski, wybitny dramaturg polski.

— Zmarł Jan Henryk XV, książę Pszczyny.

— Z Warszawy wysłano do Berezy grupę szmuglerzy i lichwiarzy.

— Warszawski Sąd Apelacyjny zatwierdził wyrok, skazujący na 10 lat więzienia 76-letnią staruszkę Paulinę Szewczukową, morderczynię swojego zięcia.

— Aresztowano Jakóba Kędziorka, znanego jako „Srulek łobuz", posądzonego o dostarczanie broni nielegalnemu O. N. R.

W ŻYCIU ŻYDOWSKIM.

— Rumuńscy inwalidzi wojenni wypowiedzieli się w obronie swych kolegów — Żydów.

— Konferencja rewizjonistyczna w Pradze odbyła się pod znakiem zadowolenia z rzekomego upadku koncepcji Państwa Żydowskiego w części Palestyny oraz dywersyjnych zamierzeń w stosunku do Agencji żydowskiej.

— Hr. Bethlen, prezes mniejszościowej partii węgierskiej w Siedmiogrodzie, na audiencji u premiera Gogi wypowiedział się w obronie Żydów siedmiogrodzkich.

Prof. Dr. Chaim Weizmann

„PRZEJDZIEMY PRZEZ TE BURŻLIWE DNI..."

(Mowa Prezydenta Światowej Organizacji Syjonistycznej do Jiszuwu przed wyjazdem do Londynu)

Panowie! Po raz pierwszy od czasu Kongresu występuję publicznie przed społeczeństwem żydowskim. Dwie przyczyny skłoniły mnie do dzisiejszego wystąpienia. Po pierwsze to, że wkraczamy obecnie — jak powiedział to prezydent Rady Narodowej — w okres decydujący, może nawet najbardziej decydujący w naszej epoce. Po drugie zaś: z powodu ostatnich wydarzeń Egzekutywa Syjonistyczna uchwaliła zażądać od prezydium opuszczenia na krótki czas kraju i udania się znów do Londynu.

Ben-Gurion wyjechał dziś, a za parę dni także ja opuszczę Palestynę, by spełnić żądanie Egzekutywy i udać się do Londynu na jaki miesiąc — chciałbym więc pożegnać się z Wami.

Nadszedł już czas, by mówić otwarcie o sytuacji, w której się znajdujemy. My, członkowie Egzekutywy, a z nami ci wszyscy, którzy na ostatnim Kongresie tworzyli większość, nie daliśmy dotąd żadnego wyrazu naszym zapatrywaniom, chciałbym więc w kilku słowach scharakteryzować poglądy, przyświecające mi w mojej pracy.

Winniśmy spojrzeć oko w oko sytuacji politycznej, która wytworzyła się po wydarzeniach 1936 r. Zanalizujmy wrażenie, wywołane na narodzie angielskim a później na Komisji Królewskiej przez rozruchy, strajk i powstanie. Trudno było, aby nie zrodziło się wrażenie, że tu powstaje cały naród przeciw innemu narodowi i, że gotów on jest użyć wszystkich sił swoich. Wiemy, jakie jest nastawienie Anglii wobec powstań narodowych tego rodzaju. Anglia miała już nie raz do czynienia ze strajkami i buntami obywatelskimi. Zawsze zaś Anglicy dochodzą w takich sytuacjach do wniosku, że należy uczynić dwie rzeczy: po pierwsze trzeba zaprowadzić w kraju porządek przy pomocy różnych środków, tak jak czyni się to teraz, po drugie: po przywróceniu „prawa i porządku" należy zasiąść do okrągłego stołu z buntownikami i dojść z nimi do porozumienia na podstawie koncesji. Taka jest angielska tradycja — tak postępowano w różnych krajach. W Palestynie zaś jest to łatwiejsze, niż gdzie indziej, bo tu koncesje robi się kosztem czynnika trzeciego — naszym kosztem. Toteż większe jest tu niebezpieczeństwo.

Atmosfera, w której pracowała Komisja Królewska, była zatruta podobnymi koncepcjami. W sprawozdaniu Komisji widzimy dwa kierunki. Jeden idzie po linii, którą właśnie scharakteryzowałem: jest wielki ucisk, ucisk ten wciąż się powiększa, jest więc nań jedno tylko lekarstwo: urządzić Siedzibę Narodową w sposób, któryby zaspokoił jej przeciwników. Wyrazem tego poglądu była propozycja paliatywna.

Trzeba jednak przyznać, że Komisja nie uznała za stosowne — może pod wpływem naszych słów i czynów — pozostać tylko przy tym punkcie widzenia. Komisja nie widziała możności zamknięcia rozdziału Siedziby Narodowej i rozerwania na strzępy Deklaracji Balfoura, mandatu i tego wszystkiego, co zawarte jest w tych dokumentach. Dlatego poczyniła krok — jak wydaje się mi — wyjątkowy, jeśli chodzi o Anglików, działających zawsze w sposób empiryczny i powoli. Komisja Królewska poczyniła krok rewolucyjny, oświadczając: doszliśmy do wniosku, że nie mamy możności urzeczywistnienia Deklaracji Balfoura w całej Palestynie, ale sądzimy, że istnieje możność jej urzeczywistnienia w części kraju — nie będzie to już za to częściowe wykonanie Deklaracji, ale wcielenie jej w życie w stu procentach. Tak zrodził się projekt utworzenia Państwa Żydowskiego w części Palestyny.

Uważam, że mimo wszystkich braków, które dostrzegamy w sprawozdaniu Komisji Królewskiej, powinniśmy przyznać, iż jest to może pierwsza księga spośród licznych „białych" i „czarnych" ksiąg, której poglądy możemy w mniejszym lub większym stopniu przyjąć. Członkowie Komisji nie ograniczyli granic Państwa Żydowskiego tylko do tej części Palestyny, którą już zdobyliśmy naszą pracą i energią, lecz wykazali, że biorą także pod uwagę sytuację Żydów na świecie. Zgodnie z własnymi obliczeniami dali nam terytorium, które umożliwi nam kontynuowanie i rozszerzenie naszej pracy w kierunku stworzenia zalążka państwa, zdolnego do normalnego rozwoju. Nie mówię o szczegółach — o nich jeszcze pomówimy z rządem angielskim — ale myślą kardynalną Komisji Królewskiej było stworzenie rzeczy realnej i mogącej się rozwijać.

Według naszego zdania — granice, zaproponowane nam, są zbyt małe, a warunki zbyt ciężkie. Wszyscyśmy myśleli, że projekt rządu nie odpowiada naszym żądaniom i potrzebom, dlatego odrzuciliśmy go. Nie odrzuciliśmy samej idei i zasady, ale ten wniosek, aczkolwiek wiedzieliśmy, że nie jest to jeszcze wniosek ostateczny, ale rodzaj szkicu, koncepcja, podstawa dla dalszych rokowań. Sądzę, że sensem uchwały Kongresu było, iż my poczekamy, aż rząd angielski, tak jak oświadczył w parlamencie, będzie gotów przyjść z jakimś wnioskiem konkretnym, a wtedy rozpoczniemy z nim rokowania i będziemy walczyć o nasze zasadnicze żądania.

Czekaliśmy i czekaliśmy jakie 6 miesięcy, aż przyszedł list ministra kolonii (Biała Księga). Uważam, że list ten nie wyjaśnił naszej sytuacji, ale przeciwnie, spowodował pomieszanie pojęć. I oto znowu czekamy.

Obawiam się koncentracji czynników, przeciwnych tej koncepcji zasadniczej, oraz nacisku zewnętrznego i wewnętrznego na rząd angielski, który sam znajduje się w tak trudnej sytuacji. Sytuacja międzynarodowa nie pozwala mu teraz zająć się w sposób zasadniczy sprawą palestyńską w czasie, gdy Imperium Brytyjskie pochłonięte jest sprawami bardziej dlań żywotnymi: na Dalekim Wschodzie, w Indiach, w Irlandii, w Hiszpanii, na Morzu Śródziemnym. Wszystko to nie są sprawy błahe dla rządu angielskiego. Dla nas jednak Palestyna jest punktem centralnym. Może są dziś także Anglicy, uważający, że również dla nich Palestyna jest ważna, ale i oni nie widzą w niej centralnego zagadnienia polityki angielskiej. Losem Żydów jest zawsze stanowić przedmiot, a nie podmiot polityki. Do tego zaś jest nam sądzone dokonanie tej najważniejszej może dla nas pracy w czasach tak skomplikowanych i niebezpiecznych. Cały świat zajęty jest burzeniem, my zaś jesteśmy w praktyce jedynymi zmierzającymi do budowy. Oto są objawy wielkiego kryzysu politycznego i słusznie powiedział nasz przewodniczący, że kryzys ten stanowi też zasadniczą przyczynę kryzysu gospodarczego.

Nie mogę polemizować z wszystkimi czynnikami zewnętrznymi, zwalczającymi nas i plan utworzenia Państwa Żydowskiego w części Palestyny. Nie mamy możności dyskutowania z czynnikami, z którymi brak nam wspólnego języka. Dlatego ograniczę się tylko do kilku słów pod adresem czynników wewnętrznych. Nie zabiorę Wam czasu dla porachunków z rewizjonistami. W zachowaniu się ich nie ma nic prócz najwyższej demagogii, w której tak bardzo się wyspecjalizowali. Całe życie mówili tylko o własnym rządzie i państwie, a gdy powstała pewna możliwość utworzenia państwa (może niewielkiego państwa), sprzeciwiają się temu wszystkimi siłami swoimi, prowadząc demagogiczną propagandę we wszystkich krajach. Demagogia ta jest obliczona na wywołanie zamieszania wśród naszego narodu i łowienie ryb w mętnej wodzie.

Są jednak czynniki ważniejsze od rewizjonistów, a także one, wydaje mi się, stawiają sprawę w sposób podobny. Projektowi Komisji Królewskiej — w formie, w której może będziemy mogli go przyjąć — przeciwstawiają one Państwo Żydowskie w całej Palestynie. W warunkach obecnych nie można mówić o tym, w każdym razie na przestrzeni lat nadchodzących, które jeszcze możemy w naszym życiu oglądać. W tej najbliższej przyszłości nie będziemy mogli mówić o większości żydowskiej w całej Palestynie — lecz albo o rozproszonej mniejszości żydowskiej w całej Palestynie, albo o skoncentrowanej większości żydowskiej w części Palestyny. Oto są dwie możliwości — teza i antyteza. A wszyscy dobrze wiemy, co znaczy być mniejszością. Pamiętamy o Żydach w Rumunii, a zakładam, że losy mniejszości żydowskiej pod rządami arabskimi nie będą inne niż w Rumunii. Arabowie mają licznych nauczycieli i gorliwie wchłaniają naukę uciskania i zwalczania Żydów. Mając więc do wyboru pomiędzy pozycją mniejszości w kraju arabskim a większością i samodzielnością w części kraju, winniśmy wybrać to drugie. Wybór ten nie narusza wiary żydowskiej w wielką Palestynę, która istnieć będzie w swoim czasie.

Nie muszę przed tym Doniosłym Zgromadzeniem roztaczać obrazu naszej sytuacji, — daleki zaś jestem od wywoływania w Was uczucia obawy — jeżeli w ciągu 5—6 lat nadchodzących praca nasza, a więc kolonizacja, nabywanie ziemi, przemysł, oświata, wszystkie te zasadnicze rzeczy będą prowadzone w tym tempie i w tych rozmiarach, co obecnie. Oni (Arabowie) biegną, a my idziemy powoli. Oni biegną, albowiem otrzymują pomoc ze wszystkich stron. Wszyscy wrogowie żydostwa, wszyscy co pragną naszej zagłady, uczynili sobie z Arabów miecz, zawieszony nad naszą szyją. My zaś walczymy i pracujemy w najtrudniejszych warunkach. Wprawdzie może przyjść cud. Bóg Izraela obdarzył już swój naród licznymi cudami. Ale na cud nie można liczyć. Szybki rozwój jest nam potrzebny, jak powietrze do oddychania. Wielka praca, wielka „alija" i kolonizacja potrzebne są nam nie tylko z punktu widzenia ucisku i konieczności diaspory, ale także w związku z naszymi koniecznościami tu, w Palestynie. Arabom wystarcza sama statyka, my zaś musimy mieć dynamikę — zdobywać ziemię, zakładać nowe osiedla, sprowadzać nowych ludzi. Bez tego nie tylko nie wzmocnimy się, ale cofniemy się wstecz. A mówię przecież tylko o 5—10 nadchodzących latach. Wszyscyśmy tu już starzy i spracowani. A nadchodzące dziesięciolecie będzie decydujące dla naszego pokolenia. Przyznaję się przed Wami: chciałbym żyć jeszcze 10 lat i widzieć moimi oczyma nasz postęp. Jest to jedyna nagroda, której pragnę dla siebie, a myślę, że także wielu siedzących tu ożywia to święte pragnienie.

Oto jest teza i antyteza. Nie trzeba zaś z nami mówić o dalekiej przyszłości Palestyny i o tradycji. Wszystko to zmiany. Przy pomocy Jeremiaszowych żalów nie buduje się kraju. Kraj buduje się przy pomocy ludzi, ofiar, pieniędzy, ziemi, kolonii. Na Kongresie w Bazylei mówiłem o „kozie z Chedery" — w oczach moich ta „koza" jest zasadniczym czynnikiem postępu i kolonizacji. Dlatego winniśmy teraz zjednoczyć wszystkie nasze siły albo przynajmniej ich przygniatającą większość w imię stworzenia przy ich pomocy możliwości rozpoczęcia wielkiej pracy.

Oto misja, której się obecnie podejmujemy, opuszczając kraj i udając się do Londynu, aby wpłynąć na tych ludzi, w których ręku znajduje się możność stworzenia przeszkód na naszej drodze — albo umożliwienia nam wznowienia pracy na szeroką skalę. W Londynie powiem Anglikom: — Wielki błąd popełniają ci, którzy regulują sprawy naszym kosztem, bez oglądania się na to, że w Palestynie przebywa **prawie pół miliona Żydów**, którzy nie dopuszczą do załatwienia tych spraw bez ich zgody. Jest tu wielka siła — siła twórcza i siła sprzeciwu. Musicie się też liczyć z siłą moralną wielkiego dzieła, które tworzy się w Palestynie. Anglia nie może zrywać układów. Jeśli zacznie to czynić, grozi jej wielkie niebezpieczeństwo: albowiem Imperium Brytyjskie opiera się nie tylko na materialnych fundamentach, ale także na duchowych i moralnych, Całe to wielkie i rozgałęzione ciało oparte jest na pewnych zasadach. Toteż niebezpieczne byłoby dla Anglii unieważnienie uroczystej deklaracji, której udzieliła w obliczu całego świata w chwili groźnej dla rządu brytyjskiego, w czasie wojny. Na podstawie tej deklaracji stworzyliśmy to, co stworzyliśmy. Byłoby lekkomyślnością sądzić, że takie rzeczy można unieważnić.

Uważam, że jeżeli uda się nam uregulować sprawę podziału w formie, któraby zaspakajała nasze żądania, wtedy w ciągu nadchodzącego dwudziestolecia powstanie możliwość szerokiej kolonizacji i wielkich inwestycyj przemysłowych. I po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat osiągniemy znów pewien stopień niepodległości, będziemy panami własnego losu, będziemy mogli urządzić nasze życie nie pod rządami ludzi, nie mających dość miłości i zrozumienia dla naszych potrzeb, będziemy niezależni od zdania innych. Oto jak ja widzę te rzeczy, oceniając je prostym rozumem moim i moich kolegów. Oto jest linia naszej pracy politycznej, a od niej zależna jest także praca gospodarcza i kolonizacyjna. Wszelka zaś demagogia wokół tej sprawy tylko nam szkodzi w tej godzinie wielkiego niebezpieczeństwa, którą przeżywamy.

Przejdziemy przez te burzliwe dni, a mam nadzieję, że kiedy spotkamy się po moim powrocie, będziemy mogli złożyć sprawozdanie, że nadszedł dla kraju okres szeroko zakrojonej pracy i pokoju.



Jest Pan tą osobistością, której fotografia zamieszczona jest w konkursie „Idische Bilder".

KTO ONI?

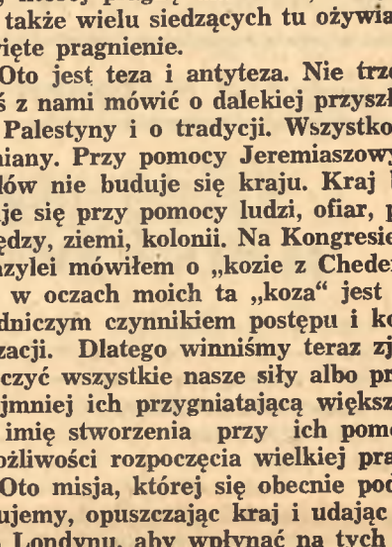
2 wielkie nagrody.

Pierwsza nagroda:
BEZPŁATNA PODRÓŻ SAMOLOTEM P. L. L. „LOT" do PALESTYNY I Z POWROTEM.

Druga nagroda:
BEZPŁATNA PODRÓŻ PAROWCEM „POLONIA" KLASĄ 1-e DO PALESTYNY I Z POWROTEM.

20 dalszych nagród.
Warunki udziału w konkursie patrz w „Idische Bilder".

IDISZE BILDER — jest jedynym ilustrowanym pismem żydowskim.
IDISZE BILDER — przynosi najciekawsze ilustracje z całego świata
IDISZE BILDER — odzwierciadla wiernie życie żydowskie zarówno w krajach diaspory jak i w Palestynie.
IDISZE BILDER — drukuje najciekawsze powieści, nowele i humoreski.



Poco szukać na dnie morza

skoro można zdobyć bogactwo kupując los I-ej klasy Loterii Klasowej w niezmiennie szczęśliwej kolekturze

„NADZIEJA"
Marszałkowska 117
i II. Oddz. Miodowa 7
Ciągnienia już 17. lutego b. r.!

Dr. H. Lichtwitz

Partia Żabotyńskiego obraduje...

PRZESILENIE RUCHU.

Kiedy Żabotyński wraz ze swymi zwolennikami wystąpił z Organizacji Syjonistycznej, orzekli ci, co znają dynamikę żydowskiego życia politycznego, że wstępuje na trudną drogę i zajmuje niebezpieczną pozycję taktyczną. Stojąc poza wielkim ruchem syjonistycznym, a pomimo to wobec tych samych, co ten ruch, problemów, rewizjoniści nolens volens spotkali się z zadaniami, o które na terenie organizacji nigdy się zbytnio nie troszczyli.

Przez dziesięć lat krytykowali zawzięcie wszystko, co się w Organizacji odbywało. Teraz stanęli na własnych nogach i przyjęli na się pełną odpowiedzialność, musieli więc dowieść, że można uniknąć błędów, które przypisywali „złemu systemowi" i „niezdolności kierownictwa", że można wszystko inaczej urządzić. Ale kiedy rewizjoniści po raz pierwszy wyjrzeli ze swego własnego gniazda, stwierdzili, że świat jest taki sam, jaki był, że taka sama jest ziemia i jej mieszkańcy, siły i konstelacje polityczne. Nic się nie zmieniło. Organizacja Syjonistyczna nie straciła absolutnie na sile z powodu wystąpienia jednej frakcji. Przeciwnie! Wzrosła liczba jej członków, zwiększyły się fundusze! Działalność na odcinku kolonizacyjnym zwiększyła się. Żadna luka nie powstała na żadnym odcinku pracy syjonistycznej. Partia rewizjonistyczna natomiast od chwili swoich narodzin nie potrafiła sobie naprawdę dać rady. Wyłom w kadrach Organizacji Syjonistycznej nie udał się, część uczestników pod przewodnictwem Grossmanna powróciła wkrótce. Nowych kół, stojących poza ruchem syjonistycznym, nie udało się pozyskać. Przeszkody, które na tym polu piętrzyły się przed syjonistami od czasów Herzla, były na tyle niesympatyczne, że istniały nadal i dla rewizjonistów. Rozpaczliwa próba Żabotyńskiego, by dotrzeć do mas ortodoksyjnych, w zupełności zawiodła. Do tego przyłączyła się konieczność utworzenia i — co jest o wiele trudniejsze — utrzymania własnego sztabu organizacyjnego.

Musiano tedy — choćby się dotychczas jak najbardziej przeciw temu piorunowało — apelować do ofiarności żydowskich bliźnich, którzy też nie myśleli wyrzekać się swoich przekonań dla kwestarzy Żabotyńskiego. Ale życie szło naprzód. W Palestynie powstawały nowe kolonie, powstawały wciąż nowe placówki, które są zasługą Organizacji — aktywności i czynów rewizjonistów widać ani słychać nie było. Odpowiedź rewizjonistów na przykre pytanie: „Czegoście dokonali?" Stawała się więc coraz bardziej niepewna. I tak rewizjoniści osłabli znacznie w swoim zapale, na którym im nie zbywało w okresie, gdy stanowili grupę opozycyjną w łonie Organizacji. Partia ich jest dziś w wielu krajach, szczególnie w Europie Wschodniej, słabsza niż przed wystąpieniem z Organizacji.

Świadczy o tym wyraźnie konferencja w Pradze. Sam jej wygląd zewnętrzny posiada nie dwuznaczną wymowę. Mimo pompatycznej propagandy dla wystąpienia Żabotyńskiego, sala lucerneńska przedstawiała podczas uroczystości otwarcia niezwykły obraz słabej frekwencji. (A gdyby liczni członkowie tak wzgardzonej przez Żabotyńskiego Organizacji Syjonistycznej nie byli na tyle uprzejmi, by dobrowolnie zająć puste miejsca, sala byłaby jeszcze słabiej zaludniona).

Brak zainteresowania ze strony opinii publicznej i prasy dla dalszego przebiegu konferencji powoduje to, że o wiele mniejsza jeszcze od lucerneńskiej sala w Beeth Haam w zupełności wystarczyłaby dla „Pierwszego Żydowskiego Konwentu Narodowego".

Za objaw kryzysu w rewizjonizmie należy też uważać **nieobecność na Konferencji Schechtmanna**, długoletniego współpracownika Żabotyńskiego. Schechtmann uważa za wyjście z krytycznej sytuacji powrót do Organizacji Syjonistycznej. Został więc odprawiony, a referat polityczny powierzono komuś bardziej wiernemu wytycznym wodza.

„WIECZNE PRAWDY"".

Główna teza w referacie politycznym Żabotyńskiego brzmi: Arabowie wcale nie są tacy silni, a Anglicy nie są zdrajcami. Nie wierzcie im, chociażby coś wręcz przeciwnego mówili i pisali — oni są wierni mandatowi! (Referent polityczny, Akzin, jeszcze inaczej to sformułował: Wiemy bardzo dobrze, co leży w interesie Anglii, trudność polega na tym, żeby i Anglikom tej wiedzy udzielić). Wciąż akcentowana wiara w wierność Anglii musiała budzić w rewizjonistach mieszane wspomnienia. Wypłynęło więc wspomnienie o ultimatum „ostatniego eksperymentu", wypowiedzianym już dziesięć lat temu. Albo też później przyjęty na Konferencji Krakowskiej zwrot przeciw Anglii. I w ubiegłym roku właśnie prasa rewizjonistyczna wciąż piorunowała przeciwko „zdradzie Anglii". Żabotyński i jego zwolennicy nie pominęli żadnej sposobności, żadnego środka, by zachwiać w masach żydowskich tę wiarę w Anglię, którą dziś przyjmuje bez zastrzeżeń, którą reprezentuje tak, jak nigdy nie reprezentował sam „anglofil" — Weizmann. „Spontanicznie wybuchła burza entuzjazmu w chwili, gdy mówca ogłosił jedną ze swych wiecznych prawd" — tak się to nazywało w sprawozdaniu rewizjonistycznym o referacie Żabotyńskiego. Jego wyznanie wiary w Anglię ma jednak bardzo mało wspólnego z przydawką „wieczny". Słyszeliśmy już bowiem od niego samego zupełnie inne sformułowania. Jego ostrzeżenie, by nie przesadzać w kwestii arabskiej szczególnie w charakteryzowaniu obecnej akcji terorystycznej, zostało wzięte pod uwagę. W ciągu ostatnich kilku miesięcy prasa syjonistyczna prostowała nie raz takie przesadne opisy, co wywoływało specjalną niechęć ze strony prasy rewizjonistycznej.

(Ciąg dalszy na str. 8).

U. S. A. — twierdzą pokoju i demokracji

Autorytet Roosevelta wciąż wzrasta

Przed miesiącem 218 członków Kongresu Stanów Zjednoczonych podpisało petycję, która miała skłonić Kongres do debaty nad prawem wypowiedzenia wojny. Pobudkę do tej petycji dał wniosek, złożony przez członka Kongresu Ludlowa, który miał na celu odebranie prezydentowi prawa wypowiadania wojny i przeniesienie decyzji tej o wojnie i pokoju na referendum narodowe. Aby w ogóle doszło do debaty nad tym projektem odnośna petycja musiała być podpisana przynajmniej przez 218 członków kongresu. I 218 właśnie złożyło swe podpisy. Kiedy jednak po kilku tygodniach przyszło do głosowania, już brakło kilku z podpisanych. Głosowało 209 przeciwko 188. Pacyfizm, który od roku z dnia na dzień tracił grunt pod nogami, znowu zyskał kilku zwolenników.

Ten sam sposób myślenia doprowadził do utworzenia Neutrality Act., który miał izolować Amerykę od świata i uchronić od mieszania się w konflikty. Ustawa o neutralności, która obowiązuje przeszło rok, została przyjęta przez Kongres ogromną większością głosów. To zaś, że projekt plebiscytowy Ludlowa, utrzymany zupełnie w duchu tegoż Neutrality Act, ani razu nie uzyskał dostatecznej ilości głosów, by mógł być poddany pod dyskusję (wprawdzie potrzeba na to większości ⅔ głosów), świadczy dobitnie o tym, że wypadki, jakie zaszły w ciągu ostatniego półtora-rocza na terenie międzynarodowym, wywołały zmianę w nastrojach Ameryki.

Zainteresowani usiłowali zapewnić zwycięstwo wnioskowi Ludlowa, wobec czego nie brakło „pokątnej" propagandy. Prawdopodobnie koła krajowe i zagraniczne, które pragnęłyby widzieć Amerykę izolowaną, przebrały tu miarę. Spośród licznych pogłosek, które rozsiewano w kuluarach Kongresu, dwie powtarzały się ze szczególnym uporem. Pierwsza głosiła, że żołnierze chińscy przebrani za Japończyków, chcieli zaatakować własność amerykańską w Chinach w celu wywołania zbrojnej interwencji Stanów Zjednoczonych. Według drugiej pogłoski Japonia zamierza w najbliższym czasie wszcząć akcję zbrojną przeciwko Anglii, na skutek której Stany Zjednoczone z pewnością zostaną wciągnięte w wojnę — jeżeli Kongres nie przyjmie wniosku plebiscytowego i nie przekaże prawa wypowiadania wojny spoczywającego w ręku łatwo zapalających się posłów nawskroś pacyfistycznemu narodowi. Argumenty te, dość zręcznie dobrane nie odniosły żadnego skutku podobnie jak wiele innych zresztą.

Odrzucenie wniosku Ludlowa wzmacnia niezwykle autorytet Roosevelta i rozszerza jego swobodę działania w sprawach polityki zagranicznej. Prezydent opowiadał się od początku przeciwko wnioskowi i zwracał uwagę na to, że może on raczej przez zmniejszenie obronności państwa wciągnąć Stany Zjednoczone w wojnę, niż utrzymać pokój. Nowy prestige, jaki polityce prezydenta nadało zwycięstwo w Kongresie, dał się wyczuć już w czasie obrad nad programem zbrojeń amerykańskich. Zamiarem Roosevelta jest nie tylko wzmocnienie w sposób, który przechodził wszelkie oczekiwania sił obrony morskiej, lecz również powietrznej i lądowej. Zamierza on też zmienić charakter zbrojeń i produkcję broni, która dotychczas pozostawała pod znakiem defenzywy, podciągnąć pod kategorię ofenzywnych.

Innym dowodem zmiany poglądów w Stanach Zjednoczonych jest akcja, prowadzona przez zrzeszenia pacyfistyczne, a mająca na celu zebranie 12 milionów podpisów pod petycję do Roosevelta, w której znalazłoby swój wyraz dążenie do pokoju, i do zbiorowego bezpieczeństwa w przeciwstawieniu do dotychczasowego izolacjonizmu. Nie ulega wątpliwości, że ta liczba podpisów faktycznie zostałaby zebrana. Petycja taka zaś nie może nie wywrzeć wpływu na kierownictwo polityki zagranicznej Stanów i ogromnie przyjdzie Rooseveltowi z pomocą w jego dążeniu do popierania mocarstw demokratycznych.

H. J.

Bojkot „kultury" Trzeciej Rzeszy

Czterdzieści osiem najznakomitszych amerykańskich firm wydawniczych podało do wiadomości, że nie weźmie udziału w Międzynarodowym Kongresie Wydawców, który z kolei odbyć się ma w tym roku w Lipsku. Oświadczenie ich brzmi jak następuje :

Handel książkami jest w Niemczech skrępowany, podobnie jak dziennikarstwo. Żaden wydawca w Lipsku nie odważy się wypowiedzieć poglądów innych, niż te, które dyktują urzędnicy hitlerowscy, kierujący wydawnictwami. Udział w zjeździe na terytorium Niemiec wraz ze wszystkim, co łączy się z taką współpracą, byłby sprzeczny z istotą naszych zadań jako wydawców. Zawód nasz symbolizuje ideał wolności prasy i jej odgałęzień: wolności słowa i zebrań. Na zjeździe w Niemczech nie możemy dać wyrazu swoim poglądom, a nie możemy się też poniżać do tego, by znaleźć się tam i milczeć o swoich przekonaniach.

„U nas w kraju korzystamy z wolności słowa, którą nam gwarantuje konstytucja"— opiewa dalej oświadczenie. — „Pod obecnymi rządami zaś w Niemczech samo posiadanie pewnych książek jest poczytywane za przestępstwo kryminalne. Żadna książka nie może być opublikowana, jeżeli nie zostanie przedtem w manuskrypcie przedłożona urzędnikowi i przez niego oceniona. Dzieła światłych pisarzy nowoczesnych są zakazane. Wbrew zakazowi handlujący nimi księgarze i wydawcy oskarżani są o zdradę. Handel książkami jest skrępowany, zarówno jak i prasa. Cenzura rozciąga się nie tylko na wynurzenia polityczne, lecz i na naukę, sztukę, całą kulturę.

Dzieła Freuda i Sinclair Lewis'a, Einsteina i Bergsona, Masaryka i Bertranda Russla, profesora Bearda, Tomasza Manna, Remarque'a, Zweiga — żeby na chybił trafił wymienić kilku pisarzy naszych czasów — zostały zakazane lub publicznie wygnane, lub wreszcie spotkało je jedno i drugie. Rząd niemiecki zwalcza idee bez względu na to, czy reprezentuje je Niemiec czy cudzoziemiec. Właśnie teraz podano do wiadomości zakaz wydania „Saturday evening Post". Prawdopodobnie rządowi niemieckiemu nie podoba się artykuł Johna Günthera. Dziewięciu dziesiątych nowoczesnych książek niemieckich, które z powodzeniem przetłumaczone zostały na angielski, nie można dostać w Niemczech. Jeżeli się je sprzedaje pokryjomu, życie kupującego i sprzedawcy jest mocno narażone.

...Można dalej przewidzieć, że partia narodowo - socjalistyczna wyzyska obecność przedstawicieli zagranicznych w Lipsku, by u niemieckiej opinii publicznej wzbudzić przekonanie, że obecny regime cieszy się poważaniem w świecie — jak to zresztą już wyzyskali hitlerowcy dla takiej propagandy Ollimpiadę i uroczystości pamiątkowe Uniwersytetu w Heidelberdze".

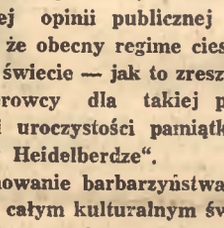
To napiętnowanie barbarzyństwa hitlerowskiego przed całym kulturalnym światem należy powitać z radością. Podpisanych jest wiele poważnych firm, między nimi i następujące: A. S. Barnes u. Co., Bloch Publishing Co., Bobbs—Merrill Company, Coviei—Friede, E. P. Button u. Co., Farrar u. Rinchard, Harcourt, Brace u. Co., Harper u. Brothers, Harvard University Press, Alfred A. Knopf, Longmans, Green u. Co., Macanlay Company, Macmillan Company, University of North Carolina Press, Vanguard Press, Yale University Press.

„New York Times" pisze m. in. z powodu stanowiska, jakie zajęli wydawcy: „Prawie osiemset lat Lipsk słynie ze swoich targów. Przez dwa stulecia był jednym z największych ośrodków wydawniczych świata. To już minęło. Wprawdzie rozbrzmiewa tam jeszcze stukot pras drukarskich, niewielu ludziom jednak poza granicami Niemiec zależy na tym, co się tam drukuje — chyba, że ktoś interesuje się patologią dyktatury.

Jeżeli więc czterdziestu ośmiu wydawców amerykańskich oświadcza, że nie weźmie udziału w tegorocznym Międzynarodowym Kongresie Wydawców, to nie bojkotują oni tym literatury niemieckiej, niemieckiej sztuki i nauki, niemieckiej wiedzy gospodarczej, ani niemieckich nauk społecznych, ani historii, ani piśmiennictwa. Bojkot ten skierowany jest przeciwko obecnym władcom państwa niemieckiego. Czytelnikom amerykańskim wciąż jeszcze miłe są te Niemcy, które przemawiają z książek, zabronionych w ojczyźnie, z książek, napisanych nieraz przez autorów, skazanych na banicję. Z tych książek wiedzą czytelnicy amerykańscy o tym, że kultura niemiecka jeszcze nie umarła.

Nad każdą działalnością umysłową i artystyczną w Trzeciej Rzeszy rozciąga się cień ignorancyjnej, świętoszkowatej reakcji. Jeżeli ta reakcja zostanie kiedyś usunięta, to nie będzie to dziełem zagranicznej krytyki. Kiedy jednak jej droga, jak w tym wypadku, krzyżuje się z naszą, kiedy od Amerykan żąda się, by pod przymusem obchodzili rocznicę Uniwersytetu lub brali udział w niemieckim Kongresie Księgarzy, na którym żaden Niemiec nie będzie mógł wypowiedzieć tego, co myśli — nie powinniśmy taić swych uczuć. Pod pozorami dobrej woli kryje się zawsze dużo obłudy. Ale my mamy dobrą wolę, dobrą wolę i wiarę, że naród niemiecki z czasem znowu zajmie swoje poczestne miejsce w świecie kulturalnym. Ale dać świadectwo życzliwości dla prawdziwych, podziwu godnych Niemiec można tylko wzbraniając się przed obojętnym nawet ukłonem w stronę trawestacji, która się zwie hitleryzmem".

P. T.



PRZYSZŁOŚĆ I NADZIEJA NARODU to zdrowa, zahartowana w boju życiowym młodzież. Przyczynia się do tego racjonalne, na naukowych podstawach oparte odżywianie. W szeregu pokarmów, zawierających niezmierzone bogactwo życiodajnych witamin, poczesne miejsce zajmuje ulubiona przez wszystkich zwolenników wychowania fizycznego wyborowa czekolada f. „PLUTOS" S. A. w — — smakach i odmianach.

Leopold Halpern

„Wszyscy chcemy rządzić - a nikt służyć..."

Tak, w Polsce dnia dzisiejszego wszyscy — a najwięcej rządząca „sanacja" i opozycyjna endecja — są zapatrzeni w ideał władzy, jako cel sam w sobie. Stwierdza to nie byle kto, ale właśnie jeden z najwybitniejszych ideologów, współtwórców i przywódców dawnej narodowej demokracji, prof. *Stanisław Grabski*, w ostatniej swej publicystycznej książce *).



Krytyka obozu dziś rządzącego, krytyka obejmująca całokształt jego działalności politycznej, gospodarczej a także społeczno - moralnej, krytyka bardzo surowa, choć, zdaniem naszym wcale zasłużona, nie zadziwia w ustach *Stanisława Grabskiego*, polityka w dużym stopniu symbolizującego parlamentarno - koalicyjną politykę polską okresu przedmajowego.

Po dwunastu latach Polski pomajowej — wybitny polityk Polski przedmajowej stwierdza z pewnym akcentem triumfu: „Odpartyjnienie życia politycznego Polski nie udało się za życia marszałka Piłsudskiego. BBWR., który miał nadać polskiej myśli politycznej lot ponadpartyjny, stał się naprawdę promotorem najciaśniejszej wyłączności partyjnej. I dlatego musiał być rozwiązany. A stronnictwa skazywane na zagładę istnieją". Toteż z dużym spokojem i wiarą w trafność tej swojej oceny prof. *Grabski* stwierdza: „Myśl, że to, czego nie zdołał osiągnąć Piłsudski, osiągnie w jego imieniu ktoś inny, jest mało realna".

Po słusznych tych, ale w ustach starego opozyzjonisty wcale nienowych ocenach i stwierdzeniach, następują inne, tym razem niepozbawione już posmaku politycznej sensacji. Oto ideolog, współtwórca i przywódca dawnej endecji stwierdza, że dzisiejsze Stronnictwo Narodowe również rwie się do monopartyjności, jest stosunkowo słabe i zapatrzone w obce wzory! Słowa te warto zacytować i mieć dobrze w pamięci: „Ale również nierealne są monopartyjne marzenia kierowników Stronnictwa Narodowego. Dość zestawić te dwie cyfry: 12.000 uczestników demonstracyjnego pochodu Stronnictwa Narodowego w Warszawie w rocznicę Cudu nad Wisłą i tegoż dnia tyleż samo t. j. 12.000 ludowców demonstrujących w Buczaczu — by zdać sobie sprawę, jak naiwnym jest złudzenie dmowszczyków, że do nich należy rząd dusz w narodzie". Do tego wszystkiego dzisiejsi „narodowcy" — wespół z koteriami d. B.B.—zapatrzeni są w Mussoliniego, Kemala Paszę, Stalina, Hitlera a ostatnio i generała Franco, co nie daje im dostrzegać polskiej rzeczywistości.

Najgorsi zaś są ci, „narodowi" kandydaci na wodzów i dyktatorów. Autor sądzi, że z objęciem przez nich tej wymarzonej władzy „...zmieniłoby się bardzo niewiele, poza tym, że inni ludzie zapełnialiby szeregi młodych emerytów i obozy odosobnienia. Bo stosunek do Polski wszystkich monopartyjnych, elitarnych grup jest w gruncie rzeczy taki sam. Wszystkie one uważają ogół narodu za nierozumny tłum, nad którym trzeba panować. Wszystkie one czują się powołanymi do władania Polską. Nie tylko ze strony sanacyjnej powiedziano, że polityka to tylko sztuka zdobywania władzy i utrzymywania jej w swym ręku wszelkimi sposobami. Dosłownie to samo wskazanie dał przed kilku laty swemu obozowi p. Roman Dmowski. A w rok potem jeden z przywódców młodzieży narodowej oświadczył, że cała jej ideologia streszcza się w dwóch słowach „władzy" i „chleba".

Ten władczy stosunek do Polski, tak silnie występujący u młodych „narodowców, najbardziej też razi starego „narodowego demokratę" — nie szczędzi więc pod ich adresem sarkastycznej ironii: „Przeciętny akademik polski już na drugim roku Uniwersytetu wie doskonale, co będzie robił, gdy „młodzi Obozu Narodowego" zdobędą w Polsce Władzę", jest myślowo zupełnie dojrzały do rządzenia państwem czy województwem, a już co najmniej powiatem. Ale nie wie zupełnie, co miałby dla ziszczenia swego programu robić na stanowisku np. koncypienta adwokackiego w Peczeniżynie... I dlatego tyle widzi się mieczyków wśród słuchaczy 2-go roku — a mało wśród 4-to rocznych; magistrów zaś i inżynierów wszechpolskich nie ma prawie wcale".

Razi też dawnego endeka pogląd, zakorzeniony dziś tak silnie wśród młodego pokolenia narodowców, że wszelka walka idei i apelowanie do praw człowieka oraz praw narodów, jest jakimś masońskim blefem: „To wietrzenie poza wszelką ogólno-ludzką ideologią masonów i żydów doszło już do tego, że się powstanie 63-go i 64-go r. ogłasza obecnie ze strony narodowej za intrygę frankistów."

Słowem: prof. *Stanisław Grabski* przeprowadził porachunek na całej linii, porachunek polemiczny z obozem, który współtworzył i któremu współprzewodził, z obozem, co to tak szybko przeszedł długą, bądź co bądź, drogę od *Jana Popławskiego* do... *Kazimierza Kowalskiego*.

St. Grabski przeszedł ostatnio do frontu Morges, do szeregów Stronnictwa Pracy. Można więc wiele jego zapatrywań uważać za wyraz poglądów tego obozu. Mamy zwłaszcza na myśli koncepcję Polski chrześcijańskiej, demokratycznej i sprawiedliwej społecznie, której kontury autor starał się zakreślić w pozytywnej części swoich rozważań. Można też przypuszczać, że ocena ruchu ludowego i warstwy chłopskiej w ogóle — objętościowo w książce prof. Grabskiego bardzo obszerna i poparta historycznymi rozważaniami — także w dużym stopniu odzwierciadla nastroje i sympatie Morges.

W czasie potężnej demonstracji w Nowosielcach gospodarz Słyż wygłosił przed ówczesnym generałem Śmigłym-Rydzem przemówienie, w którym zgłosił prawo mas chłopskich do roli *współgospodarza* Polski. Prof. Grabski z pełnym uznaniem ocenia takie właśnie, nie monopartyjne, postawienie sprawy stosunku do Państwa.

Gdyby np. w Nieświeżu zjechali się ziemianie dla zgłoszenia swych postulatów dygnitarzowi państwowemu, proszonoby o powstrzymanie reformy rolnej, o ulgi w spłacie długów i podatków, o parę tek ministerialnych i t. d. A także przemysłowcy, tylko jeszcze bardziej stanowczo żądaliby dla siebie gospodarczych korzyści i ulg. Tymczasem — podnosi z uznaniem autor — „w rezolucjach wręczonych w Nowosielcach gen. Rydzowi... nie ma ani słowa o jakichkolwiek chłopskich bolączkach. Natomiast jest mocno a poprostu powiedziane„ że chłopi chcą silnej Polski, że dadzą zawsze życie swe i mienie w obronie Ojczyzny... że posiadają pełną świadomość obowiązków swych, ale też i prawo współgospodarzy Państwa Polskiego".

Ciekawe są też obecne poglądy prof. *Grabskiego* na sprawę reformy rolnej, tym ciekawsze, że zahaczają o sprawy mniejszościowe i o kwestię żydowską. „Reformę rolną trzeba naprawdę śpiesznie i gruntownie przeprowadzić" — twierdzi stanowczo autor; a chciałby to też uczynić kosztem niektórych mniejszości narodowych (Ukraińcy, Niemcy). Tu *St. Grabski*, integralny nacjonalista i zwolennik państwa narodowego pozostał wierny sobie w stu procentach.

Natomiast zupełnie nieoczekiwanie dla nas Pan Profesor z całą stanowczością odpiera endecki „argument", że reforma rolna jest żydowskim wymysłem, bo ma odciągnąć chłopa od walki o żydowski stragan. Z tą częścią wywodów prof. Grabskiego warto zapoznać się jak najdokładniej:

„Wierutnym jest głupstwem insynuowanie, że żądanie jej (reformy rolnej) wzmogło się ostatnimi czasy wskutek poduszczeń żydowskich — dla odwrócenia uwagi chłopów od walki o spolszczenie handlu". Chłopi wiedzą, „że z tą odrobiną pieniędzy, jakie posiadają, mogą co najwyżej odebrać Żydom małomiasteczkowe kramarstwo, oraz przez organizacje współdzielcze detaliczny handel wiejski i pośrednictwo w zbycie nabiału i jaj. A w tych gałęziach pracuje zaledwie 2 procent ogółu zarobkującej ludności".

Także prof. *Grabski* przywiązuje wagę do „wyparcia Żydów z dotychczasowych ich monopolicznych pozycji gospodarczych. „Ale demagogicznym frazesem jest zapewnianie, że gdy się wyrzuci Żydów z Polski — będzie przez to samo u nas dość pracy dla wszystkich. Zawodowo czynnych Żydów jest u nas co najwyżej 2 miliony. Przybywa nam natomiast w ostatnich 4 latach rocznie po 250.000 bezrobotnych. Więc gdybyśmy mogli dowolną ilość Żydów z Polski wysiedlić i na wszystkie zajmowane przez nich stanowiska wprowadzać bezrobotnych Polaków, dając im dotknięciem różdżki czarodziejskiej potrzebne dla tego wiadomości i kapitały — to po 8 latach już by wszystkie możliwości zarobkowe, wynikające z emigracji Żydów, były wyczerpane. A co wtedy? Kogo byśmy z kolei usuwali poza nasze granice? Sprawa żydowska jest ważna, bardzo ważna. Ale nie jest ona ani jedyną, ani nawet najważniejszą w Polsce, a szczególnie dla wsi naszej". Cóż mamy dodać do słów prof. *Grabskiego*.

Książka jego jest silnym „mea culpa" dawnej endecji, która z przerażeniem patrzeć musi na swą młodą latorośl. Polecamy ją gorąco młodemu pokoleniu endecji, wychowankom i uczniom Grabskich.

*) Stanisław Grabski: Ku lepszej Polsce. T-wo Wyd. „Rój". Warszawa, 1938. Str. 253.

Prof. Dr Hugo Bergmann
Rektor Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie

Droga Martina Bubera

(W 60-tą rocznicę urodzin wielkiego myśliciela żydowskiego)

W jednej ze swoich ostatnich książek Buber określił potencjalność człowieczeństwa, jako to, co człowieka w najistotniejszej mierze odróżnia od zwierzęcia i ponad nie podnosi. Ta pełnia możliwości, która się w wielkim człowieku przejawia ,może się jednak rozmaicie wyrażać: będzie to albo pełnia człowieka, który gotów jest w każdej chwili zacząć od nowa, zaprzeczyć swoje wczoraj i rozpocząć nowe jutro; albo też będzie to pełnia człowieka większego, u którego podstawowy rys jego istoty pozostaje niezmiennie, lecz rozwijają się i krystalizują coraz dobitniej w ciągu jego długiego żywota, ogarnia wciąż nowe przeżycia i przemyślenia, przenika je i ożywia, sprzęgając je w jednolity rytm osobowości.



W tym sensie mógł Bergson o wielkich filozofach powiedzieć, że każdy z nich przemyślał właściwie tylko jedną jedyną myśl. Podstawową ideę Bubera, która z pełni możliwości jego istnienia z coraz większą jasnością i ścisłością wykrystalizowywała się w rzeczywistość jego myślenia i bytowania, jest, jak mi się wydaje, przezwyciężenie swojego ja w kosmicznym ty.

Z rumieńcami zapału czytaliśmy my młodzi ludzie w pierwszych latach obecnego stulecia jego artykuły w „Die Welt". W ciasnotę syjonistycznych dyskusji i pracy partyjnej wtargnęło jego wołanie: „My natomiast widzimy istotę i duszę ruchu w przekształceniu życia narodu". Właśnieśmy byli przyszli do syjonizmu i przynieśliśmy mu cały zapał naszych dusz młodzieńczych; organizacja jednak nie wiedziała co z tym począć. Jej hasłem było „Czekać!" — czekać na sukces dyplomatyczny. Wyciągaliśmy ręce i błagaliśmy o pracę. Gdyby organizacja wówczas była wiedziała to, co nam dziś jest wiadome, byłaby nam musiała powiedzieć: „Uczcie się hebrajskiego! Zdobywajcie sobie żydowstwo!" — Ona nam jednak odpowiadała: „Agitujcie, organizujcie!" I najlepsze siły żydowstwa w syjonizmie zachodnim były by go wkrótce opuściły, gdyby nie byli wystąpili Martin Buber i Bertold Feiwel i nie rzucili hasła „większego syjonizmu", który miał zjednoczyć wszystkie duchowe czynniki odrodzenia i doprowadzić do bezpośredniego, żywego ujęcia narodu i pracy narodowej. „Syjon może powstać tylko jako konsekwencja wewnętrznej ewolucji narodowej. Propaganda syjonistyczna musi stać się przekształceniem życia narodowego w jego głębiach, u jego podstaw. Musi do dusz przemawiać i duszy żądać".

Nie należy przeceniać znaczenia wychowawczego tego pierwszego okresu działalności Bubera. Nieliczne grono jego ówczesnych wyznawców otrzymało decydujący impuls na drogę życia: „Stać się człowiekiem i stać się nim w duchu żydowskim". To było zadanie, które każdy z osobna mógł i powinien był spełniać przez całe swoje życie. To były pierwsze słowa Bubera skierowane do nas.

Potem przyszły lata jego „Mów o żydowstwie (Reden über das Judentum) — rok 1909 i następne. Przez długie lata Buber nie brał udziału w ruchu; z nieubłaganą konsekwencją usunął się z życia partyjnego i wgłębił się w źródła chasydyzmu. Wrócił do nas zupełnie zmieniony. Doświadczył na sobie działania wiary i postawił takie pytanie: „Czy istnieje religia żydowska? Nie dogmat i norma, kult i reguła; czy istnieje swoiste, dziś przeżywane ustosunkowanie się do absolutu, które można określić jako żydowskie i które urzeczywistnia się w społeczności żydowskiej?" — Odpowiedzi, jakie on wówczas dał, dziś nas już nie zadowolą. Krew jako najgłębsza warstwa potencjalności duszy (w pierwszej mowie), postulat jedności, która z własnego rozdwojenia i przez wyzwolenie się zeń wciąż u Żyda się odradza (druga mowa), jednolitość, czyn, przyszłość jako idee podstawowe żydowstwa (trzecia mowa) to były — (mimo że wówczas uważaliśmy je za prawdy ostateczne) tylko z trudem i niedokładnie sformułowane wyrazy tego, co Buber chciał powiedzieć i co później z całą jasnością wypowiedział. Nie odpowiedzi jednak były ważne, ważnym było postawienie pytań. Jeżeli Buber i jego przyjaciele z frakcji demokratyczno-syjonistycznej przeciwstawili w r. 1901 jałowej robocie partyjnej żądanie renesansu żydowskiego w najpełniejszym i najogólniejszym tego słowa znaczeniu, to teraz powiedziane zostało z całą wyrazistością, że rozkwit odnowionego piśmiennictwa żydowskiego i wszystkie inne wartości, które uważaliśmy za przejawy renesansu żydowskiego, nie oznaczają jeszcze odnowienia żydowstwa, że odnowienie to musi się zacząć w warstwach o wiele głębszych. „Walka o spełnienie musi się zacząć na nowo". I znowu na końcu trzeciej mowy żądanie: „Musi być urzeczywistniana w naszym życiu osobistym".

Dyskusja trzech mów, która powinna była stać się dyskusją na temat religii, została niebawem przerwana. Wybuchła wojna światowa; stworzenie żydowskiej siedziby narodowej w Palestynie miało wkrótce stać się faktem dokonanym. Znów, po raz trzeci Buber zabrał głos w dyskusji syjonistycznej, założył, podczas zawieruchy wojennej, czasopismo „Der Jude" i bronił w nim swojego programu syjonistycznego.

„Chcemy urzeczywistnić wzniosły ideał Żyda, który nosimy w pamięci i nadziei" oto słowa z pierwszego artykułu wstępnego. Tęsknota za rzeczywistym kształtowaniem sprawiła, że Buber stał się politykiem. Warto dziś jeszcze raz przeczytać artykuły polityczne Bubera, są one zawarte w drugim zbiorze „Jüdische Bewegung" i są dziś zupełnie aktualne. Swój polityczny program formułował Buber w roku 1919 następująco: „przede wszystkim powinniśmy się powstrzymać od wszelkiej polityki zagranicznej, za wyjątkiem tych poczynań i środków, które są pożądane, aby doprowadzić do trwałego przyjaznego porozumienia, z Arabami na każdym polu życia publicznego, więcej, do ogólnej solidarności braterskiej; po drugie, musimy się starać, aby nasz ustrój społeczny i gospodarczy był oparty na postulatach sprawiedliwości, na specyficznych wymaganiach naszego charakteru narodowego i Palestyny; po trzecie, przy budowaniu naszych instytucji kulturalnych powinniśmy kierować się jedynie i wyłącznie troską o popieranie rozwoju sił twórczych żydostwa, zawsze pamiętając, że jesteśmy plemieniem semickim i że Palestyna jest krajem przednio-azjatyckim".

W tym duchu Buber przeprowadził w r. 1921 na Kongresie karlsbadzkim znaną rezolucję w kwestii arabskiej. Ta rezolucja nie była dlań, jak dla innych, środkiem politycznym, lecz wyrazem nowego pojmowania ruchu, którego sens on wtedy definiował jako służbę dla kraju. „Syjonizm przeszedł przez trzy fazy rozwoju: Najpierw był polityczny, syjonizm państwowy. Potem przekształcił się w syjonizm kulturalny. Teraz musi nastąpić okres syjonizmu — urzeczywistnienia, pokornego oddania się temu krajowi z wszystkimi jego problemami i w całej pełni jego rzeczywistości. Chodzi o służbę przy odbudowie kraju.

Logiczną konsekwencją takiego nastawienia ze strony Bubera powinno było być wyemigrowanie do Palestyny. To były czasy urzeczywistnienia, czasy trzeciej alii, kiedy kształtowała się definitywnie fizjognomia dzisiejszej hebrajskiej Palestyny. Kiedy dziś w głębokiej wdzięczności, ale objektywnie je oceniając, czcimy dzieło Bubera, nie możemy przemilczeć gorzkich słów, które niedawno temu Dow Stock ogłosił w czasopiśmie Cherut o reakcji młodego pokolenia chaluców w Niemczech „wobec nauczyciela, który wzywał do czynu, a sam pozostał w Heppenheim, wzbogacając obcą mowę". Biograf znajdzie niewątpliwie dostateczne powody usprawiedliwiające takie postępowanie. My jednak nie możemy w tym miejscu przejść do porządku nad faktem, że dość bogaty zasób idei Bubera, jaki trzecia alia do Palestyny wniosła, wnet poszedł w zapomnienie i że bardzo niewiele z tego do skarbca ideowego jiszuwu się dostało. Pojedyńcze jego essai'e zostały przetłumaczone — szczególnie należy podkreślić zasługi Haarec na tym polu — ale język Bubera jest za trudny, za nadto przeciążony obcymi skojarzeniami, by prosty młodzieniec palestyński mógł go w przekładzie zrozumieć. Jako syjoniści jesteśmy przeświadczeni, że los narodu żydowskiego decyduje się w Palestynie i Buber sam niejednokrotnie dawał wyraz temu przekonaniu. Tym smutniejszym jest fakt, że Buber jest Palestynie obcy. Będzie on tu mógł działać dopiero, kiedy bezpośrednio przemówi do jiszuwu w języku hebrajskim.

Stwierdzenie powyższego nie przeszkadza nam przyznać, że Opatrzność (jeżeli wolno się tak wyrazić) zatrzymała Bubera w Niemczech dla wielkiego zadania. Nie jest moim zamiarem mówić o nim w tym miejscu; nie mogę jednak nie wspomnieć o tych nowych i głębokich prawdach, które Buber w ostatnich latach osiągnął i nam oznajmił. W tych latach dokonała się w Buberze przemiana religijna, która doprowadziła go do kwintensencji religii żydowskiej. Buber sam nazwał ją „swoim nawróceniem (Zwiespräche str. 37). „W młodszych latach życie religijne było dla mnie wyjątkiem. Istniały godziny które były wyrwane z powszedniego biegu spraw i wydarzeń. Twarda skorupa powszedniości została w którymś miejscu przebita... życie religijne wyzwalało człowieka. Po tamtej stronie trwał sobie zwyczajny świat ze swymi sprawami, tu zaś panowało nabożne skupienie, światłość, zachwycenie". Ciężkie przeżycie mimochodem wspomniane stało się przyczyną tego nawrócenia.

Buber poznał, że w sensie religijnym życie należy uważać za dialog. Jako naukowcy wolelibyśmy niekiedy, by Buber obszerniej ujął to swoje rozważanie o filozofii naukowej i by nie ograniczał się do aforyzmu i aluzji ale kogo nie zrazi forma, często zbyt literacka, tego Buber doprowadzi do poznania głębokich prawd o stosunku wzajemnym nauki i religii. Przeżycie religijne nie jest przywilejem wybranych czasów ani ludzi. „O jedno tylko chodzi: abym swoje ucho otworzył dla sytuacji która mi się objawia, jako dla objawienia słowa do mnie zwróconego. Świat wiary nie jest inny niż świat życia i nauki, jest to inne przeżywanie tego świata, całkowite, przeżywanie w którym wydarzenia przemawiają do człowieka. Prawdziwy stosunek między „ja" i „Ty", o ile wyraża się szczerą otwartością względem drugiego (a nie znam nikogo, ktoby z takim oddaniem i otwartością umiał słuchać, jak Buber) staje się w ten sposób przeczuciem życia religijnego, w którym boskość do nas przemawia.

Nie tu jest miejsce, by omówić jak Buber uczył nas na nowo czytać Biblię z tego właśnie punktu widzenia. Nauczył nas na nowo rozumieć religijność żydowską, dając nam swoją głęboką interpretację chasydyzmu i wykazując w swojej ostatniej książce przy rozprawianiu się z Kierkegaardem, że ta żydowska religijność swoją siłę zachowuje i w dzisiejszych czasach przesileń: „Stworzenie nie jest przeszkodą na drodze do Boga, lecz tą drogą właśnie. Twory są postawione na mej drodze, abym ja, twór jak i one, przez nie i wraz z nimi trafił do Boga". (Die Frage an den Einzelnen str. 34).

Wiele jest jeszcze spraw niewyjaśnionych, przede wszystkim sprawa stosunku Bubera do konkretnego żydowskiego życia religijnego. Przebywając w Niemczech, mógł on odraczać odpowiedź na wiele problemów naszego życia codziennego, które w Palestynie są paląco



aktualne i których tu odraczać nie można. Właśnie teraz Buber przygotowuje swoją przeprowadzkę do Palestyny, gdzie ma objąć katedrę na Uniwersytecie Hebrajskim, którego program stworzył jeszcze w r. 1901. Konkretna Palestyna postawi go wobec ciężkich decyzji. Jest bowiem jedną z największych zalet tego kraju, że w nim wszystkie problemy żydowstwa stają się konkretne, tak że dyskusja nad nimi nie może być czysto literacka i akademicka. Każda myśl konfrontuje nas natychmiast z rzeczywistością. Droga Bubera była drogą ku rzeczywistości; w sześćdziesiątym roku życia jest on jeszcze dość młody by w rzeczywistości palestyńskiej znaleźć dla siebie miejsce.

J. Bleiberg

Psychopaci w życiu literackim

Zagadnienie udziału czynnika psychopatycznego w procesie twórczości artystycznej jest żywo dyskutowane w nauce współczesnej. Prawo obywatelstwa w świecie nauki uzyskało ono dzięki sensacyjnemu w swoim czasie wystąpieniu włoskiego neurologa i kryminologa Cezarego Lombrosa (1836—1900), autora słynnego dzieła „Geniusz i obłąkanie" (1864), którego teza zasadnicza została bliżej opracowana i rozwinięta w dwóch innych jego pracach, zatytułowanych „Człowiek genialny" (1889) i „Geniusz i zwyrodnienie" (1897). Pogląd włoskiego uczonego, ustalającego ścisły związek między geniuszem i obłąkanym, podzielany również przez wybitnych psychopatologów i psychiatrów francuskich, wywołał zrazu bardzo silną opozycję, reprezentowaną głównie przez uczonych niemieckich. Jej przywódcą był prof. Wilhelm Dilthey, wybitny filozof i twórca metodologicznych podstaw nauk humanistycznych, który występował w obronie zdrowia psych. geniusza, i widział w stanowisku fran. uczonych szkodliwą tendencję pomniejszania olbrzymów ducha, otoczonych przez całą ludzkość czcią i uwielbieniem. Silny wpływ Dilthey'a na naukę niemiecką, tkwiącą do niedawna jeszcze w mitotwórczym „brązownictwie", został ostatecznie przezwyciężony przez prof. Ernesta Kretschmera, znakomitego współczesnego neurologa i psychiatry, twórcy t. zw. konstytucjonalizmu. Tym terminem określił Kretschmer swoją teorię, ustalającą ścisłą zależność między budową ciała człowieka a jego usposobieniem i charakterem. Na podstawie długoletnich badań klinicznych nad umysłowo chorymi doszedł do rewelacyjnego wniosku, iż charakter człowieka wypisany jest niejako w budowie jego ciała i nie da się ukryć przed wyćwiczonym okiem badacza. Naukowemu uzasadnieniu swej teorii poświęcił podstawowe swoje dzieło „Körperbau und charakter" (1921 — dotychczas 10 wydań), a jej zastosowaniu do zjawiska genialnej twórczości, następną swoją pracę „Geniale Menschen", która ukazała się również w przekładzie polskim.

Pogląd autora „Ludzi genialnych" na rolę pierwiastka psychopatycznego w procesie twórczym dotyczy zasadniczo geniuszów, posiada on jednak aspekt ogólny i da się z pewnymi zastrzeżeniami zastosować do wszelkiej prawdziwej twórczości. Nie jest to bynajmniej pogląd zupełnie nowy i oryginalny. Znali go już starożytni. Arystoteles opowiada o pewnym poecie, który tworzył tylko wówczas, gdy cierpiał na manię, a przestał pisywać, gdy wrócił do zdrowia. O Sokratesie, Platonie i wszelkich w ogóle poetach mówił, iż chorują na obłęd lub melancholię. Rzymski moralista Seneka twierdził, iż nie ma wielkiego umysłu bez domieszki szaleństwa (Non est magnum ingenium sine mixtura dementiae). W czasach nowożytnych Diderot, Goethe, Schopenhauer, Nietzsche dawali niejednokrotnie wyraz przekonaniu, że każdy prawdziwy twórca jest w mniejszym lub większym stopniu człowiekiem psychicznie chorym.

Cennym uzupełnieniem badań Kretschmera są zdobycze psychoanalizy w dziedzinie psychologii twórczości. Wychodząc z innych zupełnie założeń doszedł Freud do ujawnienia patologicznych źródeł twórczości artystycznej, w konkretnych przypadkach (u Dostojewskiego, Michała Anioła i in.) wykrył ścisły związek, zachodzący między dziełem sztuki a pewnymi psychopatycznymi tendencjami psychiki ich twórców.

Przeprowadzony przez Kretschmera i Freuda proces rehabilitacyjny twórczego szaleństwa dokonał się już wcześniej w literaturze romantycznej. Romantycy odczuwali pogardę dla ludzi normalnych, zdrowych, zrównoważonych, zadowolonych z siebie filistrów, żyjących w absolutnej harmonii z panującym porządkiem rzeczy. Ulubionymi ich bohaterami byli, mierzący siły na zamiary, genialni szaleńcy i buntownicy, ludzie wielkich celów i wielkich namiętności, światoburcy i rewolucjoniści, walczący o nowe idee i nowe wartości. Słuszność miał Goethe, gdy twierdził: das Klassische nenne ich das Gesunde, das Romantische das Kranke (Gespräche mit Eckermann 2.IV.1829). Romantycy przygotowali teren dla naukowego zrozumienia twórczych elementów psychopatii, walczyli o uznanie dla ludzi nieprzeciętnych, „demonicznych", genialnych opętańców, szalonych burzycieli, symbolizujących odwieczny prometeizm ludzkiego ducha.

Podkreślanie twórczej roli czynnika psychopatycznego u poszczególnych twórców nie wyczerpuje bynajmniej całej treści zagadnienia. Posiada ono bowiem drugi jeszcze, nie mniej ważny, a mało dotąd uwzględniany aspekt. Mówi się przeważnie o psychopatach, jako twórcach, „producentach" dzieł sztuki, a zapomina się o ludziach, odchylonych od normy wśród ich „konsumentów"— odbiorców. Uwzględnia się tylko psychologiczną stronę problemu z pominięciem jego oblicza socjologicznego. I dlatego praca wybitnego socjologa i historyka kultury, prof. Jana St. Bystronia, p. t. „Ludzie odchyleni od normy w życiu literackim" posiada w pewnym sensie wartość pionierską. Prof. Bystronia, jako socjologa, interesuje przede wszystkim problem psychopatii od strony „konsumenta" — czytelnika i widza, rozważa, jakie grupy ludzi, odchylonych od normy, lgną do literatury i czego w niej szukają. Za takich uważa Autor nie tylko psychopatów stricto sensu, ale i ludzi chorych, bojaźliwych, abstynentów seksualnych i t. p. ludzi cierpiących na kompleks małowartościowości, niezadowolonych z rzeczywistości, nie pozwalającej im na pełne swobodne wyżycie się. Uciekają przeto chętnie w krainę literackiej fikcji, „karmią się marzeniami jak chlebem powszednim", kompensują swój życiowy niedobór wzruszeniami literackimi. Jest rzeczą powszechnie znaną, że stare panny należą do najpilniejszych i najgorliwszych czytelniczek. Całą sferę wzruszeń, nieznaną im z własnego doświadczenia, przeżywają za pośrednictwem literatury. Abstynencja seksualna sprzyja szczególnie intensywnej lekturze i zainteresowaniom kulturalno - artystycznym. Młodzież w okresie dojrzewania i mężczyźni pozostający w stanie bezżennym wykazują wzmożoną aktywność kulturalną: poświęcają dużo czasu literaturze, teatrowi, sztuce i t. p.

Wśród występujących w życiu literackim ludzi, odchylonych od normy, znajdujemy również t. zw. typy interseksualne, osoby wykazujące pewne zboczenia od przeciętnego typu seksualnego mężczyzny czy kobiety. Często spotykamy poetów, najczęściej liryków, posiadających typ psychiczny raczej kobiecy niż męski i na odwrót — literatki, kokietujące swoją męskością, ubierające się po męsku i używające świadomie typowo męskich gestów. Autor zwraca uwagę na znamienny szczegół, na to mianowicie, że kobiety literatki ubierają się na ogół dość niedbale, co wypływa u nich z chęci naśladowania męskiego wyglądu. Męskość kobiet-literatek była zawsze przedmiotem drwin i ulubionym tematem karykaturzystów. Alphonse Karr, popularny w swoim czasie powieściopisarz i ulubieniec kobiet, wyraził się, że kobieta pisząca popełnia dwa błędy: zwiększa liczbę książek i zmniejsza liczbę kobiet...

Ważną rolę w życiu literackim odgrywają ludzie niezadowoleni i rozczarowani, dotknięci romantycznym „Weltschmercem"", życiowi kibice, ludzie bez kariery i przyszłości, zgorzkniali pesymiści i dziwacy, narkotyzujący się literacką fikcją. Są oni odchyleni od normy w sensie przeciętnej ludzkiej egzystencji, żyją niejako na marginesie rzeczywistości. Rezygnację z życiowej aktywności okupują wzmożoną działalnością literacko-artystyczną. Z takich ludzi rekrutował się literacki świat przedwojennego Krakowa w okresie przybyszewszczyzny i „Zielonego balonika"", odtworzony tak pięknie przez Boy'a w jego najwspanialszej książce „Znasz-li ten kraj?".

Słowa Boy'a są historyczną ilustracją tezy prof. Bystronia, według której niezdrowa zasadniczo atmosfera niezadowolenia, rozczarowania i pesymizmu, wytworzona przez ludzi, będących życiowymi abstynentami, odchylonymi od normalnej linii zdrowego ludzkiego życia, jest podatnym gruntem dla rozwoju bujnego literackiego ruchu.

Niewielkie rozmiarami studium prof. Bystronia posiada bardzo bogatą problematykę i stanowi cenny przyczynek do socjologii literatury. Zagadnienie udziału w literaturze jednostek odchylonych od normy, rozpatrywane przeważnie w płaszczyźnie psychologii twórczości, ujmuje rówież ze stanowiska odbiorcy dzieł sztuki i ogólnych warunków życia społecznego.

STER MŁODYCH

„PRAWA UMIESZCZAJĄ SIĘ WTENCZAS NA PAPIERZE, KIEDY JUŻ ZACZYNAJĄ UCIEKAĆ Z SERCA I Z PAMIĘCI. SĄ TO JAK RACHUNKI, KTÓRE WTENCZAS ZAPISUJEMY, KIEDY JUŻ BOIMY SIĘ, ABYŚMY O NICH NIE ZAPOMNIELI".
(ADAM MICKIEWICZ)

Róże i Kolce

Oenerowskie „A.B.C." ma stałą rubrykę „KOLCE BEZ RÓŻ", ponieważ nigdy nie widzi r ó ż, a zawsze k o l c e.

My staramy się spostrzec i jedne i drugie.

W „Sterze Młodych" z dnia 23 stycznia pisaliśmy o istnieniu na terenie Warszawy całego szeregu towarzystw opieki nad zwierzętami, które mają nawet swoje organa prasowe („Mój Pies", „Gołąb Pocztowy" i t. p.). Zaproponowaliśmy tym wszystkim ludziom dobrej woli, aby także zaopiekowali się głodnymi dziećmi z „gatunku starozakonnych", które są nie mniej głodne od wróbli.

Na to „A.B.C." (z 27.I b. r.) odpowiedziało głupio (jak zwykle zresztą) i cynicznie:

> *Żydowski „Ster" proponuje utworzenie „Towarzystwa opieki nad Żydami". Swoją propozycję uzasadnia tym, że przecież istnieje „Towarzystwo opieki nad zwierzętami", „Związek hodowców psów rasowych" i „Związek hodowców gołębi pocztowych".*
>
> *Towarzystwo miałoby wydawać organ „Mój Żyd", analogiczny do pisma „Mój pies". Propozycja jest rozbrajająca — Żydki próbują rozmaitych sposobów. Analogie do piesków są słuszne, bo przecież Żydki na całym świecie ujadają na Polskę.*
>
> *A że Żydki wszędzie lubią geszeft, można by przy tej akcji społecznej prowadzić hurtowy handelek... kagańców.*

Panowie mędrcy z „A.B.C." — jakoś nie sztymuje! Gdzie Rzym, gdzie Krym? — a gdzie abc logiki elementarnej?

JOTEN

JECHEZKIEL GREIWER

„TYLKO DLA DOROSŁYCH"

„Cogito — ergo sum"
(Descartes)

Taką sensacyjną opaską zaopatrzył Boy polskie wydanie „Rozprawy o metodzie" Kartezjusza. „Pragnąłem wyzyskać moją reputację „gorszącego" pisarza, i, w niezawodnym sposobie, skłonić publiczność do przeczytania tego dziełka..." — usprawiedliwia się tłumacz w przedmowie.

Dlaczego aż takiego podstępu chwytać się trzeba, by skłonić szersze rzesze czytelników do przeczytania książki filozoficznej? Czy należy to tłumaczyć brakiem zainteresowania, niskim poziomem intelektualnym i t. p.? Po części tak. Ale winę ponoszą też panowie.. filozofowie. Ten ich styl, od którego głowa pęka... A może tak już być musi? Może potęga i wielkość ich myśli musi być odziana w ciężkie, przytłaczające, pełne fałdów i tajemniczych załamań, zdania? Może lekka i przewiewna szata krajowego wyrobu przesądzi na niekorzyść o powadze ich treści?

Nie!

Dziś w 300-lecie napisania rozprawy wielkiego francuskiego filozofa Kartezjusza (Descartesa) można to rzecz z tym większą pewnością siebie, powołując się na „ojca nowożytnej filozofii", którego rozprawa jest „poufałą koleżeńską niemal spowiedzią, w jakiej Descartes dzieli się z nami historią wędrówki swego ducha". Historia procesu myślowego, która dokonała w filozofii wielkiego przewrotu. A uczynił to językiem prostym, niepuszonym, szczerym i jasnym.

Autor „Rozprawy o metodzie dobrego powodowania swoim rozumem i szukania prawdy w naukach", obaliwszy dotychczasowy sposób scholastycznego rozumowania, wskazał po raz pierwszy na prawidłowość w świecie przyrody. „Prawidła te ukazały mi, iż możebnym jest dojść do wiadomości wielce użytecznych dla naszego życia; i że, miast tej spekulatywnej filozofii, której uczą w szkołach, można znaleźć inną, praktyczną, za pomocą której, znając siłę i działanie ognia, wody, powietrza, gwiazd, nieba i wszystkich innych ciał, które nas otaczają, równie dokładnie jak znamy rozmaite rękodzieła rzemieślników, będziemy mogli użyć ich w ten sam sposób do wszystkich celów, do których się nadają, i dzięki temu stać się panami i posiadaczami natury.

Descartes zapłodnił tą myślą całe pokolenie filozofów, którzy do dnia dzisiejszego nie zakończyli sporu o prawo i prawidłowość w świecie przyrodniczym i społecznym.

Słowa o człowieku, który stać się ma panem i posiadaczem natury, wypowiedziane w wieku jałowej scholastyki, teorii średniowiecznych i marności tego świata i człowieka, brzmią rewolucyjnie i proroczo.

Kilka wierszy dalej wskazuje Kartezjusz na niski poziom ówczesnej medycyny i, że „można by się uwolnić od niezliczonej mnogości chorób tak ciała, jak ducha, a nawet może od zwątlenia starości, gdyby się miało dostateczną świadomość ich przyczyn, oraz wszystkich lekarstw, jakimi nas natura obdarzyła".

Proszę nie zapominać, że słowa te wypowiedziane zostały w roku 1637 (!). Jest w nich zapowiedź nowoczesnej medycyny, która coraz mniej zadawalnia się leczeniem objawów, szukając ich istotnych przyczyn, zapowiedź Freuda, który uczy nas o leczeniu duszy i Woronowa, który chce nas odmładzać!

Po mrocznym średniowieczu, które w swej nocy zgubiło zdobycze filozofii starożytnej, Kartezjusz pierwszy poucza nas o dynamicznym charakerze zjawisk, choć terminu tego nie używa, a mówi po prostu: „Natura rzeczy o wiele łatwiejszą jest do pojęcia, kiedy się je widzi powolnie rodzące się, niż kiedy się je rozważa już gotowe".

Kartezjusz zrywa nie tylko ze statycznym ujmowaniem zjawisk, pierwszy też podkreśla dobitnie wielkie znaczenie doświadczenia. Sam zresztą rzuca w kąt wszystkie ówczesne książki, o których wyraża się ze sceptycyzmem wyrusza na kilka lat w drogę, zwiedza różne kraje, by czytać „księgę świata" i „zdobywać doświadczenie".

Studia „księgi świata" dały mu wiele pożytku i doprowadziły m. in. do nawskroś nowoczesnego stanowiska relatywizmu w poglądzie na społeczeństwo, jego moralność i obyczaje. Wyraża to, jak zwykle, prosto i nieco naiwnie: „...widząc wiele rzeczy, które, jakkolwiek zdają się nam bardzo śmieszne i niedorzeczne, zażywają mimo to powszechnego wzięcia i uważania u innych wielkich narodów, uczyłem się stąd, aby nie wierzyć nazbyt pewnie w nic, o czym przekonuje mnie jeno przykład i obyczaj".

Niesposób w krótkim artykule wskazać na wszystkie wielkie i nowożytne myśli filozofa, który zszedł z piedestału niedosiężnego dla prostaczków języka oficjalnego ówczesnej nauki — łaciny, by przemówić ojczystym językiem Francji do ludzi prostych, a rozsądnych, w których bardziej wierzył Kartezjusz niż w zmanierowane autorytety filozofii scholastycznej.

KSIĄŻKI NADESŁANE

J. GIŻYCKI: JANEK i SAMBA — powieść dla młodzieży. Wydawnictwo J. Przeworskiego, Warszawa.

Jean Jacques Rousseau w swoim nieśmiertelnym „Emilu" napisał:

> **„Nie dawajcie dziecku podręcznika geografii; wystarczy przyroda, aby obudzić jego badawczą ciekawość. Chcecie je uczyć geografii, podając mu globus i mapy. Po co? Dopóki uczeń nie pozna sam tego, o czym mówicie, przedmioty te pozostaną mu obce".**

Dodać należy: Nie dawajcie dziecku podręcznika geografii, który zanudzi go śmiertelnie. Dbajcie o odpowiednią lekturę geograliczną, która w zajmujący sposób uzupełni jego wiadomości szkolne.

Taką właśnie zajmującą książkę napisał J. GIŻYCKI p. t. „JANEK i SAMBA".

Autor przenosi nas z Bordeaux do Konakri, stolicy francuskiej Gwinei. Bohaterem tej powieści jest Janek Rylski, wyjeżdża on po śmierci matki do Afryki do swego ojca, który mieszka tam już od dłuższego czasu. Tam poznaje Janek tajniki „Czarnego Lądu".

Amatorom zamorskich podróży i egzotycznych przeżyć wśród wojowniczych plemion murzyńskich „Lobi" polecamy tę ciekawą książkę, którą czyta się jednym tchem od stronicy pierwszej do 400-nej.

(n. j.)

HERE ENGLISH SPOKEN

FIFTEENTH LESSON.
(fyftints lesn)

Na poprzedniej lekcji (XIV) zapoznaliśmy się z koniugacją czasownika prawidłowego **(Regular Verb)**, którego charakterystyczną cechą jest końcówka **ED** dla wszystkich osób obu liczb w **Past Tense** (czasie przeszłym).

Dziś zapoznamy się z **KONIUGACJĄ CZASOWNIKA NIEPRAWIDŁOWEGO** (Irregular Verb).

Weźmy dla przykładu nieprawidłowy czasownik

TO SPEAK (tu spik) = mówić

Zgodnie z zapowiedzią podajemy przede wszystkim czas przeszły (PAST TENSE) od czasownika „To Speak" — **SPOKE** (spouk) = mówiłem (mówiłam), ponieważ cechą chrakterystyczną nieprawidłowego czasownika jest nieprawidłowy **czas przeszły.**

IRREGULAR VERB „TO SPEAK"

Present Tense

1. I speak (aj spik) = mówię
2. — — — — — — — — —
3. he, she, it epeak S (hi, szi, yt spiks) = mówi
1. we speak ,uY spik) = mówimy
2. you speak (ju spik) = mówicie
3. they speak (dzej spik) = mówią

Past Tense

1. I spoke (aj spouk) = mówiłem (-łam)
2. — — — — — — — — —
3. he, she, it spoke = mówił (-a, -o)
1. we spoke (uY spouk) = mówiliśmy (-łyśmy)
2. you spoke (ju spouk) = mówiliście (-łyście)
3. they spoke ,dzej spouk) = mówili (-ły)

Tuture Tense

1. I shall speak (aj szel spik) = będę mówił (-a, -o)
2. — — — — — — — — —
3. he, she, it will speak (hi, szyi, yt uil szpik) będzie mówił (-a, -o)
1. we shall speak (uY szel spik) = będziemy mówili (-ły)
2. you will speak (ju uil spik) = będziecie mówili (-ły)
3. they will speak (dzej uil spik) = będą mówili (-ły)

Z zestawienia tych dwóch czasowników:

„To Look" — Regular Verb (patrz lekcja XIV) i *„To Speak"* — Irregular Verb (lekcja dzisiejsza) widzimy, że:

1) *Present Tense* (czas teraźn.) zarówno dla prawidłowego jak i nieprawidłowego czasownika jest jednakowy.
2) charakterystyczną końcówką dla trzeciej osoby liczby pojedyńczej w *Present Tense* jest końcówka S.

Mówimy więc: he, she, it lookS
he, she, it speakS

Poza tym czas teraźniejszy nie ma żadnych innych końcówek. Jest to ogromne ułatwienie dla uczących się języka angielskiego.

3) *Past Tense* (czas przeszły) ma końcówkę **ED** dla wszystkich osób obu liczb w czasowniku prawidłowym. Jest to drugie ułatwienie.

Uwaga. *Past Tense* nieprawidłowego czasownika ma różne brzmienia. Będziemy więc każdorazowo podawać go przy koniugacji.

—o—

עולמי

CZASOPISMO ILUSTROWANE dla młodzieży
ukazuje się raz na 2 tygodnie.
Pojedyńczy egzemplarz 20 gr.
Prenumerata roczna — 350.
Oprawione komplety wszystkich numerów 8 zł., bez oprawy 6 zł.

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY dla dzieci
ukazuje się raz na 2 tygodnie.
Pojedyńczy egzemplarz 15 gr.
Prenumerata roczna — 2.50.
Oprawiony komplet wszystkich numerów 7 zł., nieoprawiony 4.50 zł.

„O L A M I" c/o „Tarbut" Warszawa I, Mariańska 11/6.
Przekaz rozrachunkowy 479.

S. STRELCYN

TEATR SZKOLNY

2. JEDNOSTKA CZY ZESPÓŁ?

Pamiętam. Szkoła — szara nuda. Dzwonek na ostatnią godzinę. Wracamy do klas Ruchy ciężkie. Sala, jak taśma zwolnionego filmu. Nagle basowy głos w korytarzu:

— Reżyser przyszedł! Reżyser!

Błyski w oczach! Mamy próbę! Zazdrosne spojrzenia kolegów. Wychodzimy z klas ożywieni, z godnością, z należytą powagą. Elita aktorów.

Próba. Każdy czyta urywek tekstu. Niespokojne spojrzenia. Lekka trwoga, żeby się nie zblamować: bądź co bądź swego rodzaju sława. Udało się. Uśmiechy życzliwości. Czy życzliwości?

Przedstawienie. Kurtyna w górze. Chłopiec stoi na dużym pudle. Dawid-Harfiarz stoi na Akropolu polskim, na Wawelu *). Rozpoczyna. Ledwo dostrzegalne drżenie głosu. Odpowiedzialność! Ciągnie swój patetyczny monolog, którego nikt nie rozumie, przez pół godziny. Dobry, wypróbowany aktor. Półgodzinne ziewanie, po tym oklaski. Ot, że już skończył.

Na scenę wchodzi cały zespół: 10 chłopców i jedna „dopożyczona" kobieta.

Na sali siedzi 300 kolegów.

Przedstawienie trwało 2½ godziny!

* * *

Ta sama szkoła. Ten sam dzwonek na ostatnią godzinę. Wchodzę na korytarz i znów dochodzą mnie szmery:

— Reżyser przyszedł! Reżyser!

Mam dziś próbę w III-cim oddziele. Na najbliższym przedstawieniu klasa ta wykona inscenizację tej historii o rzepie, co to ją ciągną i ciągną, a wyciągnąć nie mogą. Wchodzę do klasy. Z nad niskich ławeczek dwadzieścia kilka par ciekawych oczu.

Zapowiadam, że w tym przedstawieniu wezmą wszyscy udział. Ogólna radość.

Z kąta sali dochodzi mnie jakiś nieśmiały głos:

— A ja też?

— ?

— Bo... bo ja mam złamaną rękę... i podnosi cały czerwony z tej wielkiej niepewności uschniętą, skrzywioną rączkę.

— Oczywiście, że tak. To nic nie szkodzi.

I znów się wszyscy cieszą, tylko Marek się śmieje, bo on to już „przedstawiał" w zeszłym roku na 11 listopada.

A po tym próby. Cała inscenizacja prawie oparta jest na chórze. Chór tworzą warzywa. Ról solowych mało i niedługie. Dawid z uschniętą ręką stoi jak inne dzieci, jak inne się pochyla i udaje, że ciągnie. Nie, na pewno nikt nie pozna, że on tej ręki rozgiąć nie może.

A Gabryś to koniecznie prosi o taką rolę „mówioną", chociaż ma cieńki, skrzypiący głosik. No, i mówi razem z innymi. To skrzypienie to znowu tak bardzo nie przeszkadza, a Gabryś strasznie się cieszy. Dziś to już nawet lepiej i ładniej mówi.

I jeszcze jeden był kłopot. Trzeba nam grubego buraka. Dzieci krzyczą, żeby Leoś, bo Leoś jest strasznie gruby i taki czerwony na twarzy. A Leoś ledwo, ledwo nie płacze, tak mu dzieci zawsze dokuczają przez to, że taki tęgi. I dziś Leoś nie chce... Oczywiście, że Leoś burakiem nie będzie, przebierzemy go za kapustę, burakiem będzie ktoś inny.

A przedstawienie? Dzieci stoją jedno przy drugim, zupełnie blisko. Czy boją się? Nie, ani odrobinę.

Zaczynają cicho, ale coraz swobodniej się czują i coraz lepiej mówią. Jeśli się nawet które zagapi w ciemnię widowni, inne podchwytują słowa i wszystko idzie swoim porządkiem.

Wszyscy są zadowoleni. Najwięcej Dawid i Gabryś. I Leoś.

* * *

Jeżeli zapytacie: — Na kim powinna się opierać praca teatru szkolnego, na utalentowanej jednostce, czy na zespole?

Odpowiem: — Na zespole przede wszystkim.

Wynika to z samych celów teatru szkolnego. Wszak nie ma on za zadanie kształcić zawodowych aktorów, powinien natomiast przy odpowiednim kierownictwie „przyczynić się do rozwoju indywidualnych zdolności i cech dziecka: wyobraźni, spostrzegawczości, siły woli, swobody, wysławiania się, rytmiczności, swobody i harmonii ruchów, wreszcie wynalazczości **).

Kiedy w końcu zdamy sobie sprawę z ogromu zła wyrządzonego pracy wychowawczej i sprawie sceny szkolnej przez kultywowanie grupy uznanych recytatorów i aktorów?

A przecież każda prawie szkoła posiada do dziś dnia kilka talentów które się zawsze, przy każdej okazji eksploatuje. Wyrastają z tych dzieci ludzie o wielkich aspiracjach, a małych po największej części zdolnościach, zgrywający się i zmanierowani.

Powiecie, że zespół nie daje możności wyżycia się artystycznego zdolniejszym dzieciom?

Nieprawda! Właśnie w ramach zespołu wykorzystamy maksimum możliwości jakie jednostka posiada, rozwijać będziemy jej wyobraźnię i spostrzegawczość, nauczymy swobodnie mówić i poruszać się. Jednostką zdalną uspołecznimy, ucząc pracować razem z innymi dziećmi na równych prawach, z równymi obowiązkami. Jednostkę o bardziej ograniczonych możliwościach pokażemy z jej najlepszej strony. Czy każdy pedagog zdaje sobie sprawę z tego jak zazdrości „występowiczowi" szary tłum mniej zdolnych kolegów? Czy wie jaka się często nienawiść między dziećmi rodzi, ile się pokryjomu łez przelewa, ile razy ma tu właśnie swój początek kompleks niepełnowartości?

Praca teatralna w zespole zło to usuwa zupełnie.

I dalej powiecie: obniża się poziom przedstawienia!

Przedstawienie wprawdzie nie jest celem samo w sobie, skoro jednak o tym mowa, należy sobie zdać sprawę z tego że poziom pracy opartej na zespole może być wyższy od poziomu pracy z jednostkami uzdolnionymi. Wszak zespół posiada bezsprzecznie większe, aniżeli jednostka, możliwości ekspresji słowa i gestu, emocjonalnie działa silniej.

* * *

W szkołach, które uznały zasadę pracy zespołowej, oparta jest ona na t. zw. Kole Dramatycznym. Ten system pracy uważałbym za nienajlepszy, a to z kilku powodów:

1. W kółku takim z reguły skupiona jest tylko niewielka część uczniów czy uczenic, ponieważ przyjęcie uzależnione jest od egzaminu, lub opinii wychowawcy.

2. Praca w takim zespole, jako złożonym z uczniów:

a) różnych klas jest utrudniona ze względu na organizację prób, które wprowadzają chaos do normalnych zajęć szkolnych,

b) różnego wieku utrudniona jest ze względu na dobór programu, który nie może odpowiadać równocześnie wszystkim wykonawcom.

Szczęśliwszym wyjściem z sytuacji jest praca teatralna w poszczególnych klasach. W ciągu roku szkolnego każda klasa urządza np. jedną imprezę, na którą zaprasza wszystkie inne klasy. Praca teatralna objąć może wówczas wszystkich uczniów. Ze względu na organizację prób stanowi ta forma wielkie ułatwienie w pracy.

Sprawa programu również staje się wówczas mniej skomplikowaną ale o tym już innym razem.

—o—

P. S. AUTORA. W celu umożliwienia Czytelnikom „Steru Młodych" korzystania z porad w zakresie *teorii* jak i *praktyki teatru szkolnego, dziecięcego* i *amatorskiego* otwieram z dniem dzisiejszym *„SKRZYNKĘ TEATRALNĄ"*, w której będę udzielał odpowiedzi na pytania Szanownych Czytelników w ramach wyżej wymienionych zagadnień. Listy odnośne należy adresować: *„Ster Młodych", W-wa I, Chłodna 17, dla „Skrzynki Teatralnej"*.

*) „Akropolis" — St. Wyspiańskiego.

**) Referat nacz. Janiny Strzeleckiej, wygłoszony na Nadzw. Walnym Zjeździe Delegatów Z. A. S. P. w Warszawie dn. 10.4.36 r.

Dr. Stefan Rumelt

Karol Hubert Rostworowski

1. PISARZ NIEZALEŻNY.

Umarł Karol Hubert, hrabia Rostworowski, laureat nagrody państwowej, członek P. A. L., następca Wyspiańskiego, sobiepanek w literaturze, zwolennik zasady „liberum veto" w życiu umysłowym, niezależny i doktrynerski obrońca i szermierz katolicyzmu i nieugięty pogromca Tuwima i pisarzy polskich żydowskiego pochodzenia.

W współczesnej literaturze polskiej zajął Rostworowski wyjątkowe miejsce. Od dłuższego czasu zdobył sobie autor „Kaliguli" powszechne i niewątpliwe prawo do miana najwybitniejszego dramaturga w współczesnej literaturze polskiej.

Jakie wartości nowe wniósł Rostworowski do polskiego piśmiennictwa, że tak mocno uplasował się na jej kartach.

Są tam względy istotne, zasługi niezaprzeczalne, ale są i przemijające motywy natury czysto koniunkturalnej.

Rostworowski był przede wszystkim rzetelnym artystą o czystym, poetyckim talencie. W propagowaniu swych ideałów wykazywał zawsze szlachetną niezłomność, nieubłaganą konsekwencję i rzadko w dzisiejszych czasach niezależną uczciwość sądów. Nigdy nie szedł na kompromisy, nie sprzedawał się żadnemu obozowi, chociaż miał skrystalizowane poglądy na świat, Boga i powołanie pisarskie. Te zalety objektywnie należy uznać i zaakcentować zwłaszcza dlatego, że był najwybitniejszym przedstawicielem literatury narodowego kierunku. Odcinał się zasadniczo od wszystkich innych pisarzy prawicowych głębokim podłożem prawdziwej kultury, opartej na długiej tradycji rodowej. Ale ta hrabiowska natura odziedziczyła i wiele sarmackich przywar szlacheckich.

Nigdy nie umiał iść stadem, zawsze szedł luzem, każdej organizacji narzucał swą wolę i kaprysy lub ustępował, gestem wielkopańskim ofiarowywał lub odrzucał, a Bandrowskiemu w P. A. L. nie jeden raz wlazł na odciski, i wiele kłopotów przysporzył swym sarmackim liberum veto, którym aż do czasu teroryzował wszystkich członków P. A. L. A i w Krakowie jego własny obóz katolicko-narodowy (był zbliżony ideowo do chadecji) nie mógł go w karbach utrzymać.

2. CZŁOWIEK TEATRU

Teatr odczuwał Rostworowski z tak doskonałą intuicją, że można śmiało nazwać go najwybitniejszym człowiekiem teatru Polski współczesnej. Wszystkie jego dramaty dyszały pełną atmosferą sceniczną, żyły swym odrębnym życiem i — rzecz dziwna — dopiero na scenie ożywały. Poezja jego w druku, podana czytelnikowi jako lektura, nie ma nic w sobie z tych rumieńców krwi, która krąży na deskach teatru. Czy misterny dialog w „Judaszu", czy też walka wewnętrzna bohatera tytułowego tego dramatu tracą swe istotne zalety w książce. A jakże blade i mało przekonywujące są świetne tyrady „Kaliguli" w konfrontacji ze słowem drukowanym! Aż wierzyć się nie chce, że te same partie dramatu tak fascynowały i pasjonowały widza teatralnego! I w tym tkwi tajemnica uroku Rostworowskiego, który umiał — jak nikt z współczesnych — działać na widownię, ale ten urok znikał wraz ze zniknięciem słowa żywego.

Rostworowski przejął wielki spadek po Wyspiańskim. Takie dziedzictwo obowiązuje. Od wielkości teatru Wyspiańskiego dzieli dramatopisarstwo Rostworowskiego wielka przepaść. Mimo to zajął autor „Kaliguli" opróżnione miejsce po Wyspiańskim.

Wychowany i przepojony ideami Młodej Polski, wyrósł znarły dramaturg w kulcie dla Wyspiańskiego, neoromantyzmu i symbolizmu, w najbliższym jego środowisku, bo również i w Krakowie.

Dlatego Rostworowskiego nie możemy zaliczyć do pokolenia współczesnego, gdyż ideowo przynależy on do epoki minionej, przedwojennej. Stąd tyle w jego poezji symoblizmu („Straszne dzieci", „Antychryst") mistycyzmu i oderwanego od rzeczywistości idealizmu. Stąd dostojny patos, wysoki diapazon liryzmu, wzniosłość tematyki i anachronistyczny rym w dramacie. Ale te same względy sprawiają, iż wszyscy z szacunkiem mówią o jego poezji, mało go czytują, w teatrze często ukradkiem ziewają i niewiele rozumieją, choć tylko słowa uznania i uwielbienia mają na ustach. Jego poezja, zupełnie nierealistyczna, niewspółczesna w treści i w formie, nie przemawia do współczesnego słuchacza.

Poza tym rzadko odzywał się, napisał niewiele dramatów, a mimo to zajął tak poczesne miejsce w dramaturgii polskiej. Czemu to przypisać?

3. CZY ISTOTNIE NASTĘPCA WYSPIAŃSKIEGO?

Rostworowski miał szczęście: przeżył mimo wszystko najszczęśliwszą passę dla swoich dramatów.

Chwycił świetną koniunkturę tak natury artystycznej, jak i ideowej.

Od Wyspiańskiego i okresu Młodej Polski dramat polski leży odłogiem. Mówiąc po prostu Polska współczesna nie posiada wybitnych przedstawicieli dramatopisarstwa. Stąd powodzenie tylu miernot, stąd panoszenie się na scenie Grubińskich, Krzywoszewskich i Siedleckich, dla tego Szaniawski jest laureatem nagrody państwowej i członkiem P. A. L.

Nic dziwnego, że na tle tej jałowizny i bezproduktywności twórczość Rostworowskiego wybija się potężnie i wysuwa na czoło rodzimej dramaturgii.

W liryce, powieści, krytyce tęgich rywali nie zbraknie, na tych polach nie tak łatwo zdobyć bez walki pierwsze miejsce. Ale w dramaturgii Rostworowski bez wysiłku i bez konkurentów zajął pierwsze miejsce. To miejsce należało mu się zasłużenie, bo jak nie jemu, to komu?

Ale nie tylko to zjawisko sprzyjało jego powodzeniu. Nie tylko względy artystyczne, ale i ideowe wysunęły na czoło Rostworowskiego.

Jak już wspomnieliśmy, Rostworowski w swych dziełach i artykułach publicystycznych zawsze wiernie i twardo stał na straży ideałów zachowawczo-narodowych i religijno-katolickich. I tu znów znalazł Rostworowski wspaniałą koniunkturę, bo na lekarstwo nie sposób znaleźć wśród pisarzy prawicowych poetę o jakim takim talencie. I jak tu nie przyhołubić hrabiego, członka P. A. L., uznanego przez wszystkich, granego na wszystkich scenach, i do tego rzeczywiście wielce utalentowanego, rzetelnego poety i poważnego twórcy? Takim oto sposobem Rostworowski uplasował się na pierwszym miejscu, wspierany przez całą prawicę, uznany przez wszystkich, nie wyrzucony z siodła przez żadnego godnego i niebezpiecznego konkurenta.

Tą drogą dochodzimy do refleksji, że następca Wyspiańskiego zdobył sobie swoje wyjątkowe stanowisko również dlatego, że stał się pogromcą Tuwima.

4. ... CZY TYLKO POGROMCA TUWIMA?

Jako narodowy pisarz Rostworowski pierwszy rozpoczął zawziętą i nieubłaganą walkę z pisarzami polskimi pochodzenia żydowskiego. Po niepoważnych wystąpieniach Pieńkowskiego, nareszcie można było przeciwstawić wielkiemu wpływowi geniuszu Tuwima autorytet Rostworowskiego.

Rostworowski lojalnie przyznaje, że Tuwim „wyczuwa nawet ducha języka polskiego" (tego mu nie chce natomiast przyznać Piasecki) ale „mimo to pozostanie zawsze rdzennym pisarzem żydowskim" („Głos" poznański Nr 9 — 10. Rok 1934). Ba, nawet nie uznaje za obiektywne kryterium — przynależności rasowej, co go zresztą dyskwalifikuje w oczach czystych rasistów. „Nie wiem, czy Zegadłowicz ma sobie kroplę krwi polskiej, nie przeszkadza to jednak, by w „Powsinogach" *manifestował* się *silnie polski charakter* (podkreślenie moje) twórczości". Nota bene, to niemodne, antyrasistowskie stanowisko jedynego prawdziwego pisarza obozu narodowego, którym mają prawo pochwalić się narodowcy, kompromituje cały polski rasizm, a nie pozbawiony pikanterii jest argument o Zegadłowiczu, jeszcze w r. 1934, nie będącym autorem „Zmor"...

„Polski literat nigdy nie jest rewolucjonistą. Jest on demokratyczny... A gdzie krew żydowska, tam i rewolucja". Ten charakterystyczny sąd zdradza różnicę między postulatami „demokracji, jako wrodzonej cechy polskiego literata", wysuniętymi przez pisarza minionej epoki a demagogią oenerowską, uważającą demokrację za wymysł „fołksfrontu".

Rostworowski bliżej nie wyjaśnia, dlaczego Tuwim jest rewolucjonistą, a nie jest nim Kołłątaj, Mickiewicz, Goszczyński, Słowacki, i wielu wielu innych. Następny antysemicki argument to „zmysłowość". I znowu nie wyjaśnia Rostworowski, dlaczego Tuwim jest przedstawicielem zmysłowości, a nie Przybyszewski, Zapolska, Reymont, Żeromski, Bandrowski, Iwaszkiewicz, Kurek, Uniłowski i... Doboszyński. Równie przypadkowym argumentem przeciw polskości ducha literatury jest motyw urbanistyczny. A przecież obok wsi miasto opiewają Prus, Żeromski Reymont, Bandrowski, Wierzyński, Nowaczyński, Młodożeniec, Dąbrowski, Nałkowska, dosłownie wszyscy. („urbanizm w ich poezji jest rzeczą zupełnie naturalną, w naszej — razi"). Dalej zarzuca Rostworowski „upowszechnienie poezji i brak nadbudowy metafizycznej w psychice żydowskiej".

Jak więc widzimy, Rostworowski pozostawił oenerowcom sporo demagogicznych argumentów, które sobie przyswoili i żonglują nimi dowolnie, wiele więc mu zawdzięczają. Najgorsze jednak to, że Rostworowski, który był zdecydowanym wrogiem „argumentu pałki i żyletki" i przeszczepiania rasizmu na teren literatury, stał się prekursorem i ojcem duchowym tego wszystkiego, co się wyzwoliło w formie ohydnej napaści na Słonimskiego. I to w ogólnym rachunku jego zasług nie będzie przez potomność poczytane mu za chlubę. W każdym razie rzuca poważny cień na jego cały system etyczny, oparty przecież na szlachetnych zasadach miłości bliźniego, a mimo to prowadzący do haniebnych wybryków.



Warszawa, Łódź, Pabianice, Łuck
P.K.O. 18814.



B. Lewitówna

PROZA BRUNONA SCHULZA

Proza Brunona Schulza jest zjawiskiem niezwykłym, zajmującym zupełnie odrębne miejsce we współczesnej literaturze polskiej. Już pierwszy tom Schulza „Sklepy cynamonowe", który ukazał się przed paru laty — fantastyczne opowiadania z pogranicza snu i jawy — wzbudził duże zainteresowanie, wywołał najsprzeczniejsze zdania i niewątpliwie wysunął nowego, nieznanego dotąd pisarza na jedno z pierwszych miejsc młodej literatury polskiej. Obecnie wydany tom opowiadań p. tyt. „Sanatorium pod klepsydrą" (Rój, 1938) idzie dalej po linii założeń artystycznych „Sklepów cynamonowych". Schulz zachowuje w nim i rozwija swój własny, odmienny i specyficzny rodzaj literacki.

Proza Schulza, oszałamiająca bogactwem barw, kształtów i woni, buja niby wspaniała roślina podzwrotnikowa, jest trudna i chwilami nawet nużąca. Z trudem trzeba się wgryzać w jej długie i rozbudowane okresy, aby się rozsmakować w nagromadzeniu słów, z których wyłoni się dopiero pełny i jasny albo mglisty i niewyraźny obraz rzeczy. Chwilami ten wybujały styl wprawia w zniecierpliwienie czytelnika, wydaje się, że zbyt wiele jest w nim balastu, słów niepotrzebnych i zaciemniających sprawy zrozumiałe. A przecież tak nie jest. Trzeba pilnie i uważnie wedrzeć się w zawiłe ścieżki Schulza, aby się przekonać, że prowadzą one do krainy piękna, że każde słowo jest potrzebne i niezastąpione i dopiero wszystkie razem wyzwalają zaklęte piękno rzeczy.

Wtedy stają się jasne jego dziwaczne skojarzenia i przenośnie, które mimo, że zaczerpnięte z jednej dziedziny doznań potrafią wspaniale oddać nastrój odmiennej zupełnie dziedziny. Czasem tylko fantastyczna metaforyka Schulza prowadzi go na manowce i w pewnym momencie zatrzymujemy się przed skupieniem słów, których najgłębszego sensu niesposób dociec. *„Należy to do właściwości mojej egzystencji, że pasożytuję na metaforach, daję się tak łatwo ponosić pierwszej lepszej metaforze. Zapędziwszy się tak muszę dopiero odwoływać się z powrotem, wracając powoli do opamiętania"* — pisze Schulz.

Metaforyka Schulza jest przeważnie malarska, jego sposób widzenia i obrazowania świata jest wybitnie kolorystyczny, operujący szeroką gamą barw i odcieni. Ogromna wrażliwość i wyczulenie zmysłów pozwalają dostrzegać Schulzowi najtajniejsze drgnienia w przyrodzie a plastyka i kunszt, z jakim je odtwarza jest miejscami nieporównana.

Bogactwo formy przytłacza jednak treść w opowiadaniach Schulza. A przytem proza jego posiada zdolność odrealniania rzeczy realnych i skomplikowania rzeczy prostych. Typowym przykładem tego jest najobszerniejsza nowela, a raczej opowiadania p. tyt. „Wiosna". Jest to wspomnienie z dzieciństwa, owej wiosny życia, kiedy w dziecku pączkuje i narasta niepokój młodości, rodzi się nieśmiała miłość Chłopak jest w tym wieku, gdy album ze znaczkami pocztowymi staje się wspaniałą, tłumaczącą wszystkie zjawiska świata księga, pokochana pierwszą miłością dziewczynka wydaje się tajemniczą księżniczką, a figury z panoptikum potrafią ożyć i okazać się prawdziwymi ludźmi. Wówczas marzy się o ocaleniu biednej księżniczki, o uczynieniu z figur panoptikum swoich żołnierzy. Ta prosta historia staje się w interpretacji Schulza fantastyczną, nieprawdopodobną opowieścią i wkońcu nie wiemy już sami jak trzeba rozumieć poszczególne postaci i sytuacje, dosłownie czy przenośnie, czy nie kryje się w nich jakaś symbolika, której istotnego sensu nie potrafimy przeniknąć i zgłębić?

Fantastyka Schulza nie opiera się na motywach bajecznych i nierzeczywistych, lecz czerpie przeważnie źródło swoje w dziwacznej deformacji rzeczywistości, przypominającej deformację marzeń sennych. Schulz nie uznaje rzeczy ani istot absolutnych i bezwzględnych, zaciera granice przestrzeni i czasu. W świecie Schulza panuje relatywizm. Stąd pochodzą te boczne odnogi czasu, gdzie rozgrywa się akcja niektórych opowiadań, stąd to zatarcie granicy między człowiekiem i zwierzęciem (ów człowiek — pies z opowiadania „Sanatorium pod klepsydrą", ojciec w postaci kraba w opowiadaniu „Ostatnia ucieczka ojca") między przedmiotami martwymi i istotami. Te elementy pisarstwa Schulza czynią je oczywiście dalekimi od realizmu.

Ale podobnie jak w malarstwie deformacja nie wypacza obrazu rzeczywistości, lecz podkreśla tylko i wysuwa na plan pierwszy wartości zdaniem autora najważniejsze — tak i deformacja Schulza nie zniekształca bynajmniej literackiego obrazu rzeczywistości, przeciwnie, wzbogaca go, czyni go ciekawszym i pełniejszym, odsłania niedostrzegalne elementy, przenosi w całkowicie odmienną i odrębną atmosferę psychiczną, winny jakby wymiar. (Ten inny wymiar nie ma oczywiście nic wspólnego z wellsowskimi podróżami w czasie).

Co może najbardziej uderza w opowiadaniach Schulza, to owa niezwykła umiejętność wywoływania nastrojów. Jakże wspaniale odtworzony jest ów ciężki i obezwładniający nastrój mdlejącego od żaru upalnego dnia w „Martwym sezonie". A już skończonym arcydziełem jest opowiadanie „Sanatorium pod klepsydrą". Atmosfera tego opowiadania jest ciężka, wilgotna, słodka jak powietrze owego szczególnego klimatu, *„gdzie aksamitna soczysta czarność, zgaszona szarość pluszowych popiołów przebiega pasażami stłumionych tomów, złamanych dławikiem klawiszy a obfite i fałdziste powietrze, łopoczące twarz miękką płachtą ma w sobie mdłą słodycz odstałej deszczówki"*.

Proza Schulza nie jest przeznaczona dla szerokiego ogółu czytelników; jest zbyt trudna i wymaga zbyt wiele uwagi i skupienia. Książka Schulza należy do tych, które mogą budzić albo zachwyt albo niechęć — przejść obok niej obojętnie nie można.

Kiedy jeszcze byli czeladnikami...

W 1876 Knut Hamsun był czeladnikiem szewskim w Bodö. Był to uparty i samowolny, lecz jednocześnie bardzo pojętny chłopiec, który w mig orientował się w każdej sytuacji.

Pewnego razu zauważył, jak szef jego, obsługując jakąś piękną damę, dość długo manipulował około jej nóżek.

„Co pan robi, panie majstrze?" — spytał.

Szef oburzony woła:

„Głupcze, czy nie widzisz, że ja pani zdejmuję miarę na obuwie?"

Jasnowłosy, niebieskooki chłopak nie przeraził się jednak i spytał znowu:

Panie majstrze — a od kiedy to damskie obuwie sięga do kolan?"

*

W młodości swej Szaliapin pracował u kowala. Kiedy młody Fiodor Iwanowicz Szaliapin uwijał się około miechu, jego majster, który miał dobry głos, śpiewał. Szaliapin zazwyczaj mu wtórował. A kiedy ukończył śpiew, zdawało mu się, że piosenka wciąż jeszcze się w nim odzywa. Po krótkim czasie Szaliapin został przyjęty do chóru kościelnego. Dyrygent był bardzo zadowolony z chłopca, który był jednym z najlepszych śpiewaków, i płacił mu nawet kilka rubli na miesiąc.

Pewnego razu powiada on do chłopca:

„Fiodor, muszę ci powiedzieć, że ty śpiewasz najlepiej z nas wszystkich. Wiele się ode mnie nauczyłeś i jesteś najlepszym moim uczniem. Będziesz teraz zawsze u mnie śpiewał i będę ci płacił o kilka rubli więcej. Powiedz, mój chłopcze, co zrobisz z tymi pieniędzmi?

Nie namyślając się wiele, Szaliapin odparł.

„Za te pieniądze wezmę sobie dobrego nauczyciela i wykształcę się w śpiewie..."

Edgar Wallace był przez krótki czas czeladnikiem u mleczarza. Podczas gdy ten od rana do południa odwiedzał ze swoim wózkiem klientów, Wallace pracował w sklepie. Między innymi musiał też czyścić kadzie na mleko. Edgar o wiele pilniej jednak czytał książki, niż czyścił kadzie. A że jego szef również hołdował słowu pisanemu, nieraz zdarzało się, że czytali razem.

Pewnego razu, w mroźny ranek zimowy, siedzieli razem przed ogniem, pogrążeni w lekturze. Wózek z mlekiem stał przed sklepem, a klienci napróżno czekali w domu na swoje porcje. Wallace czytał spokojnie, a szef jego od czasu do czasu robił uwagi nad postaciami z książki. Wreszcie przerwał Wallace'owi wołając: „O, to ciekawa książka, można przy niej zapomnieć o jedzeniu i piciu!"

Edgar Wallace, któremu mleczarz przeszkadzał w czytaniu, odrzekł:

„Nie przypuszczam jednak, żeby pańscy klienci zapomnieli o piciu!"

Mleczarz niezwłocznie opuścił sklep i pośpieszył do klientów. A Edgar Wallace mógł spokojnie kontynuować lekturę...

*

Ferdynand Raimund był czeladnikiem u cukiernika. Co wieczór udawał się do teatru, by tam sprzedawać wyroby cukiernicze i napoje chłodzące. Przy tej sposobności chłopiec poznał scenę.

Pewnego dnia pracował Raimund wraz z innymi czeladnikami w piekarni. Był w jak najlepszym humorze i śpiewał wesołą melodię. Wtem wszedł pan Jung — jego szef.

„Co to za przedstawienie tu urządzasz?"

„Pożegnalne" — odrzekł Raimund. I tego samego dnia znikł, by już nigdy nie wrócić do piekarni.

Maurice Chevalier, król śmiechu, był w swej młodości przez krótki czas pomocnikiem instalatora. Maurice był jednak przeciwnikiem punktualności i często spóźniał się do warsztatu. Kiedy szef czynił mu wyrzuty, Chevalier z przymilnym uśmiechem mamrotał jakieś usprawiedliwienie — i brał się do roboty.

Kiedy pewnego dnia Maurice znowu spóźnił się, instalator nie mógł się już dłużej opanować — zawołał:

„Tak dalej być nie może! Wciąż się spóźniasz! Jutro możesz w ogóle nie przychodzić!"

„Z przyjemnością" — Chevalier mu na to z uśmiechem — „jeżeli panu wszystko jedno, czy jestem tu, czy w domu, to ja mogę nie przychodzić. Zabrał się do odejścia, ale odwrócił się jeszcze ode drzwi: „Co to ja jeszcze chciałem powiedzieć? Aha, czy mam się zgłaszać każdego pierwszego po pensję, czy też będę ją otrzymywał pocztą?"

ANTENA ŚWIATA

Panowie bracia!

Jest rzeczą wiadomą, że najwybitniejsi współcześni dyktatorzy posiadają braci. Jest natomiast rzeczą ciekawą, że wszyscy ci „panowie bracia" są prawie zawsze braćmi starszymi. A więc, tak często wspominany cukiernik berliński, Aloizy Hitler, jest starszym bratem Adolfa, tak samo nieżyjący już brat Mussoliniego, Arnoldo, był starszym od Duce, reguła ta dotyczy również brata Dr. Goebbelsa.

Przyjrzyjmy się, więc, bliżej każdemu z nich:

Przed dwoma laty wydana została we Włoszech książka, której nakład został natychmiast wyczerpany. Tytuł jej brzmiał: „Życie Arnolda" a autorem był sam Duce. Nazywając swego brata samym tylko imieniem wprowadził Mussolini publiczność w atmosferę współżycia braterskiego, w której Benito i Arnoldo, przez długie lata wspólnie walczyli i pracowali. Aż do śmierci był Arnoldo dyrektorem dziennika mediolańskiego „Avanti", i zawsze stał wiernie przy swoim bracie. „Życie Arnolda" napisane w ciągu jednej nocy Bożego Narodzenia jest hołdem złożonym przez żyjącego zmarłemu bratu.

Postać tego „alter ego" włoskiego dyktatora wzrosła znacznie dzięki odległości w czasie.

Musolini jeszcze dzisiaj często wspomina zmarłego i używa zwrotu: „bez Anolda"...

Redaktor naczelny „Angriffu" Gobbels jest bratem starszym dr. Józefa Goebbelsa, ministra propagandy III Rrzeszy. Dla rozróżnienia ich pan minister używa swego imienia i tytułu naukowego, natomiast pan redaktor, Hans Goebbels, nazywany jest krótko „Goebbels".

Każdy zna szczupłą, nerwową sylwetkę hitlerowskiego ministra. Jego brat prezentuje się nieco inaczej: ma twarz okrąglejszą i gesty bardziej opanowane. I nie tylko zewnętrznie Goebbels stanowi ciekawą antytezę tego, o którym Hitler mówi, że „zdobył Berlin". Przed objęciem władzy przez rząd narodowych socjalistów, bardzo mało ludzi słyszało o Goebbelsie starszym. Dopiero z chwilą gdy dr. Goebbels obarczony pracą opuścił stanowisko kierownika „Angriffu", natychmiast zjawił się drugi Goebbels, który objął opuszczony fotel naczelnego redaktora i wszystko znowu poszło dawnym trybem. Starszy Goebbels boi się tylko jednej rzeczy, aby o nim mówiono. Będąc ostatnio przejazdem w Paryżu unikał ludzi, i nie zetknął się ani z jedną osobą urzędową przez cały czas swego pobytu.

Aby żyć szczęśliwie, trzeba żyć w ukryciu, myśli zapewne pan Goebbels.

Panów Franco jest aż trzech, trzech braci a raczej trójca. Każdy Franco jest niczym bez dwóch pozostałych.

Jest generał Franco. Jest lotnik Franco. I jest jeszcze Mikołaj Franco. I nie trzeba przypuszczać, aby ten ostatni był najmniej ważny.

Generał realizuje. Lotnik jest entuzjastą w rodzinie, lansuje projekty najbardziej awanturnicze. Mikołaj Franco, człowiek o pięknej prezentacji, twarzy imperatora i władczym spojrzeniu, piastuje godność podsekretarza stanu. Jest to osobistość najważniejsza w Hiszpanii narodowej, wyjąwszy oczywiście, brata jego generała. To Mikołaj układa się z zagranicą a generał poddaje się bez szemrania jego decyzjom.

Lotnik — to entuzjazm.

Generał — to pięść.

A Mikołaj — to mózg.

Na ostatnim kongresie narodowych socjalistów w Norymberdze widać było pana Mikołaja Franco spacerującego po kuluarach i mówiącego niewiele. Już wtedy rozmawiali Niemcy z Włochami na temat broni i przedmiotów pierwszej potrzeby dla Hiszpanii.

I z twarzą nieco znudzoną zdawało się, że Mikołaj mówi „Panie Boże wielki uwolnij mnie od moich przyjaciół".

Lecz jest to człowiek, który mówi bardzo, bardzo niewiele.

Bal w kościele

Liczni turyści i okoliczni mieszkańcy byli obecni 17 stycznia, tak jak i każdego roku o tej porze, na jedynym w swoim rodzaju widowisku: na balu w kościele w obecności duchowieństwa.

Dziwny ten obyczaj zachował się w wiosce Bargol i datuje się od 1350 roku.

Św. Marcel biskup Die wygnany przez króla Westgotów Ewaryka uciekł i tu w pobliżu wioski Bargol oddał Bogu ducha.

W pierwszej połowie XIV w. znalezione zostały szczątki św. Marcela. I oto dwie wioski Bargol i Opce domagały się przyznania im relikwii. Książę Prowansalski, który miał ten spór rozstrzygnąć, ociągał się z wyrokiem, wówczas mieszkańcy Bargol oblegli klasztor, w którym znajdował się grób świątobliwego biskupa, zawładnęli nim i udali się do swojej wioski. Po drodze napotkali grupę wesołej młodzieży, która dopiero co zarżnęła byka i szykowała się do przyrządzenia zeń pieczeni.

Młodzież przyłączyła się do procesji. I wszyscy razem udali się do kościoła. Na widok grobu wszystkich ogarnął entuzjazm. I tu w kościele wszyscy zaczęli tańczyć, śpiewać i wykrzykiwać.

Od tego czasu począwszy rok rocznie na pamiątkę tego wydarzenia odbywa się w kościele bal, który ściąga tysiące turystów ciekawych rytuałów średniowiecznych.

Najbardziej emocjonująca chwila w życiu

Kierowniczka jednego z największych londyńskich wydawnictw, miss Krystyna Foyle, urządziła przed paru dniami lunch, na którym licznie obecne były angielscy znakomitości.

Po śniadaniu, każdy z gości powinien był, w ciągu 5 minut, opowiedzieć najbardziej emocjonujący epizod ze swego życia.

Kiedy przyszła kolej na lady Asquit, żonę byłego długoletniego premiera, ta ledwie panując nad wzruszeniem, aczkolwiek od wydarzenia, o którym mówiła upłynęło już przeszło 23 lata, opowiadała co następuje:

— Było to 4 sierpnia 1914 roku. Mąż mój siedział w swym gabinecie w Izbie Gmin. mieckiej. Wielki zegar „Big Ben" wydzwonił jeden za drugim. W pokoju był tylko mąż mój i ja.

Stałam za jego krzesłem — „A więc wszystko skończone?" „Tak — odpowiedział — wszystko skończone". Położyłam głowę na jego ramieniu i zaczęłam płakać...

Tejże nocy lady Asquit znajdowała się razem z członkami rządu w sali prezydium rady ministrów. Panowała głęboka cisza, słychać było tylko tykanie zegara. O godzinie 12 w nocy kończył się termin odpowiedzi niemieckiej. Wielki zegar „Big Bull" wydzwonił dwunastą. Odpowiedzi niemieckiej nie było. Na ulicy tłum szumiał i wył. Lecz w sali prezydium rady ministrów po dawnemu panowała cisza. Nikt się nie odzywał. Wojna z Niemcami rozpoczęła się...

SKLEP
MANUFAKTURY
DUWID MARGULIS
RÓWNE
ul. PONIATOWSKIEGO Nr. 64
Telefon sklepu 191, mieszk. 192.
Konto czekowe P. K. O. Warszawa 81.894.

TEATR

ATENEUM

„Cieszmy się życiem" komedia w 3 aktach M. Harta i S. Kaufmanna.

Widziałem tę komedię kilka tygodni temu w jednym z najlepszych teatrów Wiednia, w Kammerspiele des Theaters in des Josefstadt. Cieszyła się ta sztuka tam względnym powodzeniem, na ogół jednak przyjęta została przez premierową publiczność wiedeńską bez entuzjazmu. Premiera tej komedii odbyła się w Nowym Yorku w roku 1936. Grana była z wielkim sukcesem przez blisko rok prawie i nagrodzona została pierwszą nagrodą sezonu.

Wiedeńczycy ze swoją przysłowiową pogodą jakoś nie bardzo ustosunkowali się do tej beztroskiej amerykańskiej rodziny Sycamore w przeciwieństwie do zmechanizowanych amerykańskich businessmanów, którzy widzieli w tej komedii sui generis protest przeciwko bezdusznemu wyścigowi pracy bez możności pełnego, w pogodzie ducha, korzystania z niej. Ta „g ł o ś n a" w dosłownym tego słowa znaczeniu, komedia, a to z powodu rozlegających się na scenie raz po raz detonacji, te „Knallefekty", to dość liche w europejskim pojęciu elementy komizmu. Te eksplozje sztucznych ogni, jako jeden z „koników" zwariowanej, ale wedle koncepcji autorów psychicznie zdrowej rodziny amerykańskiej, nie są w stanie wywołać u widza eksplozji szczerego śmiechu. Autorzy oparli swą komedię na koncepcji, że każdy człowiek naprawdę szczęśliwy musi posiadać swego „konika", na którym wyprawia swe zabawne harce. Każdy z nas ma swoją namiętność i to nas ratuje od zabójczej nudy. Defiluje więc przed nami cała galeria typów ze swymi „konikami" z dziaduniem na czele, który ze swą specyficzną filozofią życia nabiera nawet na kawał wszechmocne władze skarbowe. Tego dziadunia w interpretacji Jaracza warto zobaczyć. To są szczyty gry aktorskiej. Dobrym ogniomistrzem Sycamore był p. Kempa. Perzanowska w roli wyżywającej się w grafomanii p. Sycamore, budziła na widowni salwy szczerego śmiechu. Reszta zespołu wywiązała się ze swych ról poprawnie.

TEATR MALICKIEJ

„Kandida" komedia w 3 aktach G. B. Shawa, przełożył F. Sobieniewski.

Jaka jest myśl przewodnia Kandidy? Co chciał nam Shaw w tej sztuce, napisanej jeszcze w roku 1898, powiedzieć? Shaw nie należy do kategorii komediopisarzy, piszących dla publiczności, która szuka w teatrze rozrywkowych emocji. Prawie wszystkie sztuki Shawa mają podkład społeczny z tą tylko różnicą, że Shaw nie jest moralizatorem, naprawiaczem istniejącego zła. Jest on ironistą — burzycielem, wykazującym luki i błędy naszego życia. Sarkazm Shawa dosięgnie i ogołoci z ideału bezwzględnie wszystko. I w „Kandidzie" nie ma nic konkretnie dodatniego. Wydawałoby się na pierwszy rzut oka, że sama Kandida, podniesiona przez autora do postaci tytułowej, wnosi ze sobą coś konkretnie wartościowego. Ale tak nie jest. Różni się ona tylko od swego otoczenia tym, że widzi wszystko jasno, że nie daje się porwać pięknobrzmiącym słowom, jakimi szermują dwaj walczący o nią rywale: mąż, pastor - kaznodzieja i młody zapaleniec poeta. Kandida nie bierze ich obu serio i to ją stawia wyżej od otoczenia, w którym żyje. Krytycyzm i lekki sarkazm Kandidy to walor, który uczynił z niej ideał kobiety w pojęciu ironisty Shawa.

Kandidę zagrała z właściwą sobie wielkiej miary intuicją aktorską, Malicka. Rolę poety kreował znakomicie Roman Zawistowski. Była to gra aktorska naprawdę na wyżynie. Natomiast rolę pastora Janusz Nowacki zagrał co najwyżej poprawnie. Świetnym ojcem Kandidy, szukającym w każdej czynności własnej korzyści, był Bay-Rydzewski. Halina Cieszkowska w roli sekretarki pastora była b. udana. Komedię reżyserował Zbyszko Sawan.

J. LESER

Praca J. Bleiberga o Kartezjuszu

Ukazała się praca naszego cenionego współpracownika J a k u b a B l e i b e r g a, p. t. WIZERUNEK WŁASNY KARTEZJUSZA, napisana z okazji 300-lecia „Rozprawy o metodzie", epokowego dzieła genialnego francuskiego myśliciela — „ojca nowożytnej filozofii". Autor charakteryzuje osobistość Kartezjusza i najistotniejsze nowożytne cechy jego systemu.

Ze względu na swój charakter popularno-naukowy praca nadaje się dla bibliotek szkolnych, związkowych świetlic itp.

Skład główny w „Naszej Księgarni", Warszawa, Śto-Krzyska 18.

Konto P. K. O. 2058.

Cena egzemplarza bez przesyłki 1 zł.

Dr H. Lichtwitz

Partia Żabotyńskiego obraduje...

(Dokończenie ze str. 3-ej).

W ostrej formie występuje Żabotyński przeciwko niedawno przez angielskich syjonistów postawionemu żądaniu państwowo-politycznego rozwiązania problemu palestyńskiego w ramach Imperium Brytyjskiego. Nie trzeba naruszać suwerenności Ligi Narodów, a losy polityczne Erec rozstrzygną się wtedy, gdy „Palestyna ostatecznie będzie odbudowana po obu stronach Jordanu". A czy to nie Żabotyński przeszło dziesięć lat temu proklamował jako prarewizjonistyczne żądanie myśl uczynienia z Palestyny „siódmego dominium" imperium brytyjskiego? Argumenty, wytoczone przeciwko podjęciu takiego planu, ogromnie przypominają te, których użył wtedy Beilinsohn i Arlozorow przeciw propagandzie rewizjonistycznej.

PLAN DZIESIĘCIOLETNI.

Kiedy po wystąpieniu rewizjonistów z Organizacji Syjonistycznej pytano ich o zamiary kolonizacyjne, powoływali się na plan, który miał być rozpatrywany na pierwszej ich samodzielnej konferencji we Wiedniu. Tam jednak powzięto tylko uchwałę (wrzesień 1935), że na następnych obradach, które mają być nazwane „Żydowskim Zgromadzeniem Narodowym", ustali się ten plan. Tak mijał rok za rokiem. Teraz przedłożony został zarys „planu dziesięcioletniego", którego proklamowanie pozostawia się jednak następnemu „zgromadzeniu narodowemu".

Plan, który przewiduje przeprowadzenie przeszło miliona Żydów w przeciągu lat dziesięciu, ma jedną nieistotną wadę: jak to już podczas debaty zaznaczył jeden z delegatów, dr. Bader, robi on rachunek bez gospodarza. Oparty jest na trzech założeniach, z upadkiem których i sam upada, a mianowicie na:

„1) czynnym współdziałaniu c a ł e g o n a r o d u ż y d o w s k i e g o,

2) czynnym współdziałaniu krajów o masowym skupieniu żydowskim, jak również pozostałych narodów kulturalnych świata,

3) czynnym współdziałaniu angielskiej władzy mandatowej w Palestynie".

Żeby tylko omówić punkt trzeci. Plan przewiduje inwestycję rządu palestyńskiego dla kolonizacji żydowskiej w sumie 12 milionów funtów oraz ustawę rolną, któraby ustaliła najwyższą cenę za dunam gruntu na 1—2 funtów. Wszystkie doświadczenia naszej praktyki kolonizacyjnej i rozwój polityczny w Palestynie i Anglii nie uprawniają nas do traktowania takich hypotez jako realne.

Żąda się następnie od narodu żydowskiego pożyczki narodowej — 12 milionów funtów. („Wypada na każdego Żyda akurat 1 funt". — ileż to razy przerachowaliśmy się w takich prostych rachunkach?). Optymizm rewizjonistów musi nas tym bardziej zaskoczyć, zwłaszcza, że w ostatnich dwóch latach ruch ten zdołał summa summarum zebrać na całym świecie ledwie 7000 funtów rocznie na swoje cele. Nie chcemy się tu bliżej zajmować licznymi cyframi, które jeszcze w planie występują. Nie małe zdumienie przeszło jednak po sali, kiedy wśród tych kalkulacji znalazły się oba fundusze syjonistyczne, które — gdyby szło po myśli rewizjonistów — w ogóleby już nie istniały, które oni słowem zwalczali, szkalowali i bojkotowali. I nagle figurują w planie rewizjonistycznym w dawnej swej krasie:

„Wpływy K e r e n H a j e s o d, który dzięki planowi dziesięcioletniemu zostanie mocno odciążony ze swych dotychczasowych zadań, winny się stać funduszami gwarancyjnymi, odsetkowymi i amortyzacyjnymi.

Koszta nabywania gruntu wynosiłyby ponad 3 miliony funtów, ponosiłby je zaś K e r e n K a j e m e t h.

Żabotyński, który zauważył zdziwienie zebranych z powodu wciągnięcia do planu dawno już przezeń wyrzuconych do lamusa funduszów syjonistycznych, przerwał w tym miejscu referentowi i wyjaśnił, że oba fundusze będą dla celów planu „unarodowione". Przez co rozumieć należy, że podżegacz stanie się panem domu, który mimo jego usiłowań się nie spalił.

„Rachunek bez gospodarza" — nazywało się to w debacie. Nie wystarczyło przyjrzeć się z boku dwom piatiletkom sowieckim, czteroletniemu planowi Hitlera, sześcioletniemu planowi Włoch, New Deals Roosevelta — gdzie siły, potrzebne do przeprowadzenia, były przecie z góry zapewnione. (A jednak i takie, przez potęgi państwowe podejmowane plany, nie zawsze się udają!). A tu? Gdzie są założenia? A jeśli jedno zawiedzie ,co pozostanie z takiego planu? Propaganda nieudana, wymówka na jeszcze rok i jeszcze rok zwłoki.

SEMINARIUM POLITYCZNE.

Referat referenta politycznego, Akzina, zamieniał się miejscami w seminarium polityczne. Były tam pouczenia, które równie dobrze może dawać i dawał już Weizmann komisji politycznej Kongresu Syjonistycznego. Przypadek? Wykolejenie? Nie, referent polityczny rewizjonistów stoi wobec tych samych realnych rzeczy, co Weizmann.

Często słyszał Akzin z własnych szeregów pełne niezadowolenia pytanie, dlaczego, zwalczając plan podziału, nie przeciwstawiono mu żadnego innego hasła? „Jakież istniały możliwości? 1. Siódme dominium? Żądanie to wywołałoby dziś w Anglii implicite żądanie Rady Legislatywnej jako pierwszego stopnia dominium. 2. Kolonia? To znaczyłoby odrzucić autorytet Ligi Narodów w Palestynie. 3. Państwo żydowskie? Może ono być brane pod uwagę jako cel ostateczny, kiedy już będzie w kraju większość żydowska. Niezawsze istnieją krótkie hasła zarówno jak nie ma skrótów dla urzeczywistnienia syjonizmu"...

Za najważniejsze osiągnięcie polityki rewizjonistycznej uważa Akzin „załatwienie planu podziału. Nie bez słuszności wystąpił przeciw niemu podczas debaty delegat z Polski, Begin: „Nie powinniśmy mówić, że m y sprowadziliśmy upadek planu podziału. Przyczyny obiektywne, jak np. terror arabski, przyśpieszyły upadek. Gdyby bowiem rewizjoniści go spowodowali, to wynikałoby z tego, że są również sprawcami Białej Księgi styczniowej, tego wyraźnie proarabskiego elaboratu. Tezę Akzina należy przeto odrzucić jako niebezpieczną".

Na zarzuty delegatów palestyńskich, że rewizjoniści za bardzo zaniedbują Palestynę i muszą na przyszłość skoncentrować wszystkie siły w tym kraju, Akzin odpowiedział niedwuznacznie: niebezpieczną rzeczą jest zbytnio się identyfikować z Iszuwem. Jewish Agency w zbyt wielkiej mierze reprezentuje interesy Żydów palestyńskich. Przed tą pokusą rewizjoniści muszą się strzec. Zgoda!

PRAWDZIWE OBLICZE.

Najbardziej zasobny w dokładne wiadomości — bo najuczciwszy — był r e f e r a t dr. A l t m a n n a o P a l e s t y n i e. W przeciwstawieniu do wytycznych polityki Żabotyńskiego uważa on wręcz Włochy za inspiratora terroru w Palestynie, a głównego wroga w kraju nie widzi ani w Arabach ani w administracji angielskiej. Wrogiem Nr 1 jest Agencja Żydowska. Ją należy ztamać! Podczas gdy Żabotyński żąda „demokratyzacji Agencji Żydowskiej", a secundo loco dopiero o wiele ostrzejszej walki, Altmann widzi możliwości „zwalczenia Jewish Agency w Palestynie w przeciągu dwóch lat". Środek na to: wdzierać się do wszystkich instytucji (samorządu miejskiego i wiejskiego, gmin, Waad Haleumi), rozpocząć konkurencyjną w stosunku do Agencji działalność i p r o w o k o w a ć u s t a w i c z n i e k o n f l i k t y. Inne jeszcze drogi prowadzą do tego celu, te jednak omówi na zamkniętym posiedzeniu — a konferencja wnet oznajmiła tajność swych obrad.

W każdym razie sytuacja jest jasna. A ruch syjonistyczny przynajmniej wie, z kim ma do czynienia.

Ekspansja niemiecka w Rumunii

(Dokończenie ze str. 1).

oferty nagle stają się bardzo niskie. Tak się rzecz miała ze wspomnianą dostawą traktorów. Dla finansowania takiego eksportu rozdziela się hojnie premie eksportowe, w których udział ma cały przemysł (także i nie eksportowy).

Zwolennicy zbliżenia niemiecko-rumuńskiego próbują posługiwać się również kwestią naftową. O co tu chodzi? Rumunia jako kraj rolniczy wywozi głównie kukurydzę, pszenicę, bydło i drzewo. ⅓ rocznego eksportu rumuńskiego przypada jednakże na ropę naftową, której produkcja w 1936 roku wynosiła 8 milionów tonn — to jest 20% produkcji europejskiej (bez Anglii, Z. S. S. R. i Holandii). Od lata sfery fachowe przepowiadały wysychania rumuńskich źródeł ropy; teraz w 1937 kilka źródeł rzeczywiście wyczerpało się, produkcja ropy zmalała dość niefortunnie, bo popyt się zwiększył.

Zwolennicy zbliżenia rumuńsko-niemieckiego wysuwają z faktu zasychania ropy następujące, przez hitlerowców narzucone wnioski: kiedy nasze złoża ropy były jeszcze bardzo obfite, mieliśmy wielu odbiorców w różnych państwach. Teraz jednakże musimy się oprzeć wyłącznie na eksporcie produktów rolnych. Kto wchodzi w rachubę jako główny odbiorca tych produktów? Naturalnie Trzecia Rzesza.

Jeszcze w końcu grudnia ub. r. rumuńscy eksporterzy zbożowi nie byli w stanie finansować eksportu do Niemiec. Wiele interesów rozbiło się o te trudności. Rozstrzygająca tu zaś będzie chwila, w której państwa demokratyczne opamiętają się, że również kupują zboże i że imię ich znajduje inny oddźwięk wśród mas rumuńskich, niż imię Trzeciej Rzeszy.

P r e n u m e r a t a: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
C e n y o g ł o s z e ń: za m/m za tekstem 80 groszy, w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o. Odbito w DRUKARNI ARTYSTYCZNEJ, Nowy Świat 47 Red. odp.: A. KLARMAN.